



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOŚ:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICJI wynosi w LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu zlr. 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej; Nr 1530 (nowy 20).

Treść Numeru: *Lucya*. — Do ciebie księżycu pijem! (wiersz). — Eugenia Lawal. — Przegląd literatury zagranicznej. — Wystawa obrazów. — Przegląd literacki.
W dodatku: Pieniądz to szczęście, pieniądz to potęga, przez panią Thuret, przekład J. B.

LUCYA.

Kilka chwil z życia
opisała

Eliza Rostworowska.

— Liczę więc na ciebie doktorze, wiem że uwzględniając konieczną potrzebę twojej pacjentki, wynajdziesz mi osobę, która, choć trzymana nieco na uboczu, nie oszpeci bardzo mego salonu. Takiej bo wiem ofiary, nawet dla przyzwoitości ponieścym nie potrafiła.

Słowa te wymawiała młoda kobieta, na wpół leżąca na niziutkiej kanapie, ustawionej w strojnym i smakownie urządzonym buduarze, stanowiącym przedziwne tło, dla wdzięcznej postaci, pięknej jego właścicielki.

Ten do którego zwracał się ów monolog, był to niemłody już człowiek, o sympatycznej powierzchowności, dobrodusznym wyrazie łagodnego oblicza, i wesołym uśmiechu, igrającym zwykle na ustach jego. Zagadnięty pomyślał przez chwilę, wreszcie jakby znajdując w myśli to, czego tam poszukiwał odparł:

— Z ochotą zadość uczynię żądaniu pani. Będzie to z mej strony dwójaka zasługa, dogodzę bowiem szanownej pacjentce, a zarazem przyjdę w pomoc istocie, która godna jest współczucia i litości. Młodość, wdzięki, inteligencja, nie powinny marnieć nieznanie i nieocenione, na nędznym poddaszu.

— Wdzięki? mówisz doktorze, zagadnęła kobieta, rzucając przelotne spojrzenie w zwierciadło. Lecz snać zapytane pochlebna przesłało jej odpowiedź gdyż z uśmiechem dodała nieco prędzej:—Ra-

da jestem że osoba którą myślisz mi nastęrczyć za towarzyszkę, jest ładna; niecierpię brzydoty, tak w ludziach, jak w życiu i czynach, pod tym względem nie potrafię się nigdy przezwyciężyć.

— Pragnęłabyś pani by wszystko stało się tobie podobnem. Niestety! trudnem byłoby to zadaniem. Piękno doskonałe tak rzadkiem jest zjawiskiem.

Kobieta pogroziła mówiącemu.

— Pochlebca jesteś doktorze, nawyknienu staje się drugą naturą, a ty nigdy nie przestaniesz...

— Uwielbiać piękna. Nigdy, równie jak moja szanowna pacjentka.

— Dobrze, dobrze, zaśmiała się wesoło kobieta, powróćmy do pierwotnego przedmiotu, gdyż widzę że z tobą doktorze nie tak łatwo dojsć do końca. Otóż mówiłam ci, iż przybywszy do stolicy na zimę, pragnę mieć towarzyszkę młodą i dobrze wychowaną. Położenie bowiem młodej wdowy jest dość trudne, niepodobna mi ze względu na moje 25 lat, rzucić się zupełnie samej w odmęt zabaw. A pragnę tego niewymownie, nigdy bowiem nie użyłam świata.

Wychowana w zacisznym zakątku, pod okiem ojca, mającego gusta i nawyknienu sybaryty, matka bowiem umarła zostawiając mnie niemowłciem, nie mogłam poznać świata i jego rozkoszy. Potem wyszedłszy za mąż, za przyjaciela ojca mego, który tem jedynie zjednał sobie moje względy, iż był całkiem do niego podobny, przeniosłam się na mieszkanie do majątku męża, leżącego o pół mili od rodzinnego miejsca.

Cztery lata małżeńskiego pożycia nie różniły się prawie od pierwszych dni mej młodości. Wiejska cisza, wiejskie przyjemności otaczały mnie jak dawniej, a choć często budziło się w głębi serca pragnienie innego życia, nie śmiałam o niem wspominać mężowi, jak dawniej ojcu. Obadwa wystarczali sobie. Po całych wieczorach grając w karty, pokastując, utyskiwali na zmiany atmosfery, które im

podagrę w nogi napędzały. Ja zaś czytałam siedząc na uboczu, a że i nadtem czuwali opiekunowie moi, nie dopuszczając by lżejsze utwory literatury tegoczesnej dostawały mi się do ręki, jedynie więc tylko wyobraźnia nie dająca się ograniczyć i spętać unosiła mnie daleko, myśl rozbijała była obecna wszędzie, tylko nie w mojem otoczeniu.

Do mego poczciwego męża przywiązałam się prawie jak do ojca; to też gdy przed trzema laty po ciężkiej chorobie zamknął na zawsze powieki, skon jego sprawił mi prawdziwą boleść. Od owej chwili jednak, życie zmieniło się dla mnie. Ojciec przez chęć rozweselenia córki i siebie po śmierci wspólnego przyjaciela, gdy tylko minął czas pierwszej żałoby, zaczął szukać rozrywki w sąsiednich domach, ja zaś przeniosłszy się na mieszkanie pod dach rodzinny, z przyjemnością prawie pomagałam ojcu w przyjmowaniu jego gości.

Przez dwa lata wszystko szło dobrze, lecz gdy grono zbyt licznych wielbicieli, zanudzać mnie już poczęło, uciekałam od nich do stolicy, która mnie zawsze nęciła swemi powabami. Przez ubiegłe trzy lata to tylko zyskałam, iż teraz znam ludzi, nie takich jakimi ich opisują idealisci, ani nawet takich jakimi ich chcą mieć zwolennicy szkoły materializmu, ale takimi, jacy są w rzeczywistości, jacy chodzą po ziemi i walczą z trudnościami codziennego żywota. Gdy dziś poglądam w głąb serca mego, dziwię się że w niem, nic prawie z dawnych rojeń i przekonań nie pozostało; z dziecka, trzy ubiegłe lata uczyniły doświadczoną kobietę. Nie lękaj się więc o mnie doktorze, u progów szerszego świata nie stoję nieprzygotowana i nieswiadoma. Śmiało powierzyć mi możesz twoją protegowaną.

To mówiąc podała drobną wypieszczoną dłoń, gotującemu się do odejścia doktorowi, który korzystając ze sposobności, ucałował rączkę, poglądając z uwielbieniem na jej właścicielkę.

Z opowiadania Maryi poznaliśmy szczegóły bliżej

jej dotyczące. Czy mówiąc o sobie samej, piękna hrabina nie powodowała się egoizmem, czy rozmyślnie nie rzuciła zasłony na kilka serc zranionych tą ałłasową dłonią, a raczej spojrzaniem czarnych oczów, a może i słówkiem pełnem obietnic niedotrzymanych, tego nie wiedząc dokładnie, twierdzić nie możemy i zarówno jak ona pokryjemy milczeniem. Dodać nam tylko wypada, że piękności takiej wiele darować można, zwłaszcza gdy winy, nie przechodzą granicy grzechów powszednich.

Kobiecie pięknej, bogatej, spokrewnionej z rodzinami zajmującymi najwyższe stanowisko w hierarchii towarzyskiej, łatwo zawiązać stosunki w arystokratycznych kołach naszej stolicy. Marya pragnęła dać się poznać; łaknąca zabaw i przyjemności wiele bardzo czasu spędzała po za domem, licząc na to, iż niezadługo podwoje jej wykwiłtnie urządzonego mieszkania, otworzą się przed tłumem odwiedzających.

Tak się też i stało. Gdy prąd silny pochwyli jednostkę, dobrowolnie się weń rzucającą, niesie ją coraz szybciej i dalej, nie bacząc na napotkane skały, zapory i przeszkody.

Na jednej z odległych uliczek Warszawy, daleko od gwarne go świata, na cichem poddaszu, znajduje się niska i uboga izdebka. Ciemne i wązkie wschody prowadzące do niej, wydeptane stopami wielu pokoleń, rzadko teraz służą dla obcych przybyszów. Po nich codziennie przesuwają się lekka postać ubożego dziewczęcia, lub niekiedy schodziła z nich wolno pochylona wiekiem staruszka.

Dwie te kobiety, od lat dziesiątka zajmowały cichą izdebkę. Dokoła po pod białymi ścianami ustawione sprzęty, świadczyły, iż nie od początku istnienia, poddasze było im siedliskiem. Stare krzesło, na którym staruszka spędzała całe dnie we łzach i modlitwie, wybite zielonym aksamitem, nosiło na sobie ślady lepszych czasów. Kilka obrazów olejnych w skromnych na pozór, lecz poważnych, rzeźbionych ramach, mówiło o minionej świetności zacnego rodu, z którego pozostałe jednostki, żyły z dnia na dzień, walcząc o chleb powszedni.

Zwolna wyprzedano zabytki przeszłości łzawem żegnając je okiem; lecz biedne kobiety rozumiały to dobrze, że dla pamiątek, w sercu zachować należy przybytek, *sancto-sanctorum* nienaruszone, materialne zaś dostatków reszki, to świadkowie smutnych przewrotów, łez, bólu i nędzy. Chleb i potrzeby codzienne, to pewnik niezbity, martwe zabytki przeszłości, ich nie zaspokaja.

Łucya, kwiatek osiemnastoletni, wyrosły na gruncie cierpienia, nie jaśniała blaskiem piękności dzie wic wielkiego świata. Gibką jej kibić, nikłą prawie nazwałoby można, mała i kształtna główka, jak zwieszony białej lilii kielich, pochylała się pod ciężarem bujnych warkoczy jasnych włosów, czy też myśli smutnych... Ciemne szafirowe oczy poglądały na świat boży przez mgłę, i zdawały się patrzeć w jakiś świat lepszy, niematerialny, nieujęty. Czoło, to u młodych:

„Kraina marzeń biała i otwarta,
Jak zgotowana do pisania karta“

pokrywała zwykle chmurka zadumy, rysując na niem zmarszczkę głęboką, która na młodzieńczej twarzy, wyglądała jak mogiła na kwiecistej łące.

Biedna Łucya! Matka codzien słabsza, płakała patrząc na dziecię swe jedyne, na wychowanie którego wyczerpały się ostatecznie zasoby. Dziś jedynym środkiem do życia dla obu kobiet było sprzytkowanie drogo kupionej wiedzy. Łucya pragnęła zostać nauczycielką. Myśl rozstania się z matką, rozdierała jej duszę, ale głos smutnej konieczności, zagłuszał szept biednego serca.

O niej to właśnie pomyślał doktor *** gdy hrabina Marya objawiła mu zamiar wyszukania sobie osoby do towarzystwa. Nie zwlekając udał się na poddasze, gdzie miał zwiastować łatwiejszy byt w przyszłości i bolesną rozstania godzinę. Wysłuchawszy słów jego, Łucya padła w objęcia matki łkając, lecz po chwili, opamiętawszy się, wyciągnęła wychudłą rączkę ku staremu przyjacielowi, i rzekła lekko drżącym głosem, któremu usiłowała nadać cechę stanowczości:

— Dzięki ci zacny doktorze, nie pierwszy to dowód twej dobroci dla nas.

Kosztowny rodzinny klejnot, ostatni może poszedł między ludzi. Kupiono trochę niezbędnych toaletowych przedmiotów, i Łucya, jednego poranku, stanęła u drzwi wspaniałego apartamentu hrabiny Maryi. Wprowadzono ją do buduaru.

Marya zmierzyła przybyłą badawczym wzrokiem i spostrzegłszy jej pomieszenie, rzekła łagodnym tonem:

— Bardzo rada jestem przybyciu pani, od dziś bowiem zakończy się moja domowa samotność. Powróciwszy do siebie smutno i pusto mi było.

Zadzwoniwszy rozkazała przybyłej pokojowej, zaprowadzić Łucyą do jej pokoju. W godzinę później przybyła z magazynu szwaczka, mierząc z dość protekeyonalną miną, wątłą postać dziewczęcia. Nazajutrz wniesiono do jej pokoju, pakę zawierającą stroje. Gdy Łucya dziękowała hrabinie, Marya rzekła z uśmiechem:

— Będą ci potrzebne te drobiazgi, jutro bowiem daję bal, który mam nadzieję, że będzie świetny.

— Bal! pomyślała Łucya, o mój Boże! o matko moja biedna!

Pięknie i wytwornie wyglądał wspaniały apartament hr. Maryi, przy rzesistem oświetleniu, w kwiaty i wieńce. Najpiękniejszą ozdobą jednak była sama pani domu, pokryta brylantami i lśniąca srebrzystą materią. Najarystokratyczniejsze koła stolicy, zebrać się miały licznie w jej domu, Marya bowiem stała się gwiazdą błyszczącą na firmamencie towarzyskim. Wszyscy ubiegali się o jej względy, młodzież otaczała ją uwielbieniem, niejeden objawiał swe chęci i zamiary. Mówiono o tem wiele, swatano, kojarzono, żeniono, ale nikt nie stanowczego powieścić nie umiał; śnać serce bogini jeszcze nie przemówiło.

Marya stała w pośrodku salonu w postawie wy czekującej. W odległych drzwiach amfilady, ukazała się wyfrakowana postać wielko-światowego adonisa.

— Pierwszy przybywam, jak zwykle gdy o dom pani idzie *belle comtesse*, rzekł, ściskając podaną sobie rączkę. Upoważniony przez nią, a raczej prozony o to, zaangażowałem kilku znajomych moich na jej bal, *peu de chose, hélas!* Z towarzystwa bowiem wszyscy się tu cisną na jej własne wezwanie, a wiem że pani chodzi o to, by nawet najskąpiej od natury i fortuny uposarzone panienki miały danse rów. Będą to też *tylko danserowie*.

— Dziękuję, odparła śmiejąc się Marya, dla harmonii i tacy czasem dobrzy, *pourvu qu'ils ne fassent pas disparate?*

— O! to znów nie, mogą od biedy służyć za tło, za dekoracyą, z blizka... *je ne garantis pas.*

Oboje się rozśmiali.

Gdy już salony napełniać się zaczęły, bocznemi drzwiami, niepostrzeżona wsunęła się Łucya, w długiej czarnej sukni, którą instynktowo wybrała z pomiędzy nadesłanych jej strojów. Kilka białych róż herbacianych, zdobiło stanik i główkę dziewczęcia, lekki rumieniec zaróżowił alabastrowe policzki, w oku z po za zwykłej mgły, tlał jakiś jaśniejszy

promień, zapalony trwogą, nadzieją, lub może zwy kłą młodości ciekawością...

Muzyka napełniała salony harmonijnemi dźwięki. Marya wesółła, dumna, szczęśliwa prawie, zwracała na siebie wszystkie oczy.

— Pan Zaremba, rzekł ów znany nam Adonis, wskazując na stojącego obok młodziana, *un de ces danseurs d'ont je vous ai parlé*, dodał ciszej jest podobno inżynierem.

Marya podniosła oczy. Przed nią stał młodzian o wysokiej postaci, silnie zbudowany, o pięknej twarzy, kruczych włosach i wysokiem myślącym czole. Oczy ich spotkały się. W obu tych spojrzeniach nie było nic, prócz czezej ciekawości. Marya pierwsza spuściła powieki, w oczach młodziana bowiem po za wyrazem jaki im nadawało wrażenie chwili, było coś, czego określić niepodobna, jakaś bezden na, myśl głęboka jak nieskończoność, czy tajemnica jakaś niezbadana, może iskra niewygasła starożytnego Znicza, które czciły wieki, lub płomień wzniosłego natchnienia, czerpanego z tych wyżyn, gdzie duch wzniosły dosięga jedynie... Nie wiem, dość że Marya spuściła oczy, i światowa kobieta, przyjmująca z uśmiechem i długim monologiem uprzejmych wyrazów tytułowanych wybrańców losu, nie znalazła jednego słowa na powitanie nieznanego nikomu młodziana, który może nie jeden raz w życiu, spotkał się oko w oko z niedostatkiem.

Elegancki młodzieniec poprosił Maryą do tańca. Powstała nie wiedząc co czyni, nie zdając sobie sprawy z doznanego wrażenia. Po chwili jednak bezwiednie, roześmiała się głośno, a zapytana przez swego tancerza o przyczynę weselości, rzekła:

— Drobnostka, *une hallucination*.

Tymczasem Łucya unikając ścigających ją spojrzeń, wsunęła się do zacisznego gabinetu, pełnego książek, pism i albumów. Wziąwszy w rękę pierwszy, leżący na wierzchu tom, zaczęła przerzucać kartki, bez uwagi, cała jej myśl była tam gdzie serce, w ubożej izdebce, na poddaszu. Łza wymknęła się z pod spuszczonej powieki i padła na kartkę, która ją natychmiast wypięła.

Łucya podniosła załzawione oczy. W progu, przysłonięty ciężką aksamitną portjerą, stał młody mężczyzna. Widząc się spostrzeżonym, postąpił parę kroków, a stanąwszy nie opodal kanapki, na której siedziała Łucya, rzekł:

— Wybacz pani, że pochwyciłem coś ukryć pragnęła, lecz nie lękaj się, boleść i łzę uszanować umiem, zoam bowiem ich wartość.

Łucya spuściła oczy, chciała wyciągnąć dłoń do tego, co zdawał się ją rozumieć, lecz nieśmiałość dziewczęcia powstrzymała ten ruch, który upoważniało serce.

— Jestem Szczęsny Zaremba, rzekł z ukłonem przybyły. Pociągnięty ciszą tego pokoju, chciałem, się tu schronić na chwilę i przeszkodziłem pani. Chciej mi wybaczyć.

— Uciekałeś pan przed gwarem, odrzekła Łucya, wszak wszedłeś weń dobrowolnie, sądzę więc iż nie jest mu wstrętuy.

Szczęśny uśmiechnął się, miał odpowiedzieć, gdy tuż po za nim dał się słyszeć szelest jedwabnej sukni, wlokącej się po miękkim kobiercu. Zbliżywszy się szybko, Marya wyciągnęła doń drobną rączkę. Mazur upoważnił ją do tego, co po kilku godzinach, przy świetle dziennem, wyrzucała sobie gorzko, wstydziła się prawie.

Ileż to razy, słowo wyrzeczone, uścisk dłoni, przestane spojrzenie, przy świetle lamp i w tańca wirze, staje przed oczami naszymi, gdy się ten czar rozwieje, gdy słońce zaświeci, w postaci wyrzutu, wzbudzającego w głębi serca uczucie gniewu lub żalu.

(d. n.)

Do ciebie księżycu pijem!

Na magicznych nocy
promieniach płyną też
wielkie mistrzów pieśni,
choć poezja sama jest księ-
życową ducha naszego po-
świata. „Niechaj nam ży-
je zdrow nasz stary duch!
Do ciebie księżycu pijem!”
wykrzykuje wesoły ludek
artystów i poetów.

Józef Kremer.

Dziś kwitnie maj, na ziemi raj!
Drużyno! zbierzmy się w koło!
W tych cieniu drzew, zanuśmy śpiew,
Baźnie, swobodnie, wesoło!
Słowik zaś nam, w zaroślach tam,
W cudne napiewy bogaty,
Podtrzyma wtór, a ot z za gór
Wznosi się księżyc iskry.
Rozjaśnił skroń, przepijem doń,
Przy jego świetle wszak żyjem,
Niech żyje zdrow nasz stary druh!
Do ciebie księżycu pijem!

Ty rzewnych dum nawodzisz tłum,
Ty wieszczom zyszasz natchnienie;
W poświęcie twej, na harfie swej
Ossian nocił swe pienie.
Twój tęskny blask, to znamie łask,
On w duszach piękno zasiewa,
Gdy drzemie gaj i kwitnie maj,
Natura duma i śpiewa.
Po marzeń kwiat w twój tęskny świat,
My lecim i wieńce wijem;
Warto ci w cześć puchary wzniesić,
Do ciebie księżycu pijem!

Młodzieńczy lud, rad wierzy w cud,
Bo kocha i pełen wiary;
Więc księżyc dlań daje swą dań:
Duchy i widma i mary.
A widm i mar tajemny czar,
Obiega ziemię w noc ciemną,
I łączy ją potęgą swą,
Z krainą duchów tajemną,
Fantazyi kraj to istny raj,
Tam od nędz życia się kryjem,
Niech żyje zdrow nasz stary druh!
Do ciebie księżycu pijem!

Autor pamiątek z Litwy.

EUGENIA LA WAL.

powieść z życia społeczeństwa francuzkiego

napisana oryginalnie

przez

Kazimierza Gregorowicza.

(Dalszy ciąg).

Rozdział IV.

Widocznie zostaje pod władzą jakiejś wróżki za-
czarowanej, czyniącej sobie ze mną najdziwaczniej-
sze igraszki, pisze w następnym liście Górecki do
przyjaciela. Inaczej nie umiem wytłomaczyć szcze-

gólnego zliegu okoliczności. Dopóki byłem ubo-
gi, to żywot mój płynął jednostajnym dość kory-
tem, a chociaż nie zbywało na walkach wewnętr-
znych, te jednak były niczem w porównaniu z dzi-
siejszemi. Odkąd zostałem mniemanym milione-
rem, na każdym kroku spotykam trudności niepodob-
ne do przełamania. Dawniejszy labirynt niby bez
wyjścia, jest niczem w porównaniu z dzisiejszym po-
łożeniem.

Oczekiwałem dwa dni daremnie na odpis Józefi-
ny. Wstydząc się służących odbywałem potajemną
pielgrzymkę piechotą aż do pałacu jej ojca. Krą-
żyłem jak złoczyńca koło wspaniałego budynku,
mając nadzieję ujrzenia czarującej pani, choć
w odbitym cieniu na firankach okna.

W czasie drugiej wyprawy spotkał mnie nieprzy-
jemny wypadek, nakłaniający do zaniechania dal-
szych wycieczek nocnych. Wszedłszy niepostrze-
żenie do parku posuwałem się zwolna wśród krza-
ków, aby o ile możności przybliżyć się do okien pa-
łacowych.

Na kilka kroków przed łączką, oddzielającą mnie
od właściwego ogrodu, usłyszałem stapanie dwóch
ludzi idących w moim kierunku. Przystanąłem
więc na miejscu zatrzymując oddech, aby nie wydać
swej obecności.

Wkrótce zawiązali z sobą rozmowę, ale początku
takowej nie mogłem dosłyszeć. Niezadługo jednak
podniesiony głos dał mi poznać Bussona, co zaostrzy-
ło jeszcze więcej moją ciekawość.

Nieznając jednak osób, których dotyczyły układy
nie mogłem zrozumieć dobrze o co chodziło. Bus-
son wyrażał się o kimś z największą pogardą. Z po-
wodu zrobionej wzmianki o milionach, mogłem
przypuszczać, że rzecz dotyczy mej osoby: krew mi
uderzyła do głowy, nazwany byłem głupcem i nie-
dołęgą. Na szczęście przypuszczenie to było myl-
ne, bo osoba wzmiankowana miała związek z jakąś
panienką, którą trzeba było porwać i oddać w ręce
matki czy opiekunki, a ja nie miałem żadnych podob-
nych stosunków.

Sprawa była ciemna, ale w każdym razie nie
przynosząca zaszczytu Bussonowi. Rozmawiając
przechadzali się po niewielkiej przestrzeni mura-
wnika, tłumiącego jak najzupełniej odgłos ich stą-
pania.

Okoliczność ta wprowadziła mnie w błąd. Nie
mogąc dosłyszeć dalszej rozmowy, a sądząc że ode-
szli, chciałem wejść na samą krawędź parku. Po-
ciemku stąpawszy na suchą gałąź wydałem swoją
obecność.

Trzeba było uciekać jak najspieszniej, bo Bus-
son chciał strzelać z rewolweru. Uniknąłem nie-
bezpieczeństwa, a wybiegając na główną drogę mia-
łem zabawne spotkanie z Pavłem Mercier, bo ude-
rzywszy o siebie, o mało nie upadliśmy na ziemię.
Nie rozumiem tylko dlaczego przerażony odsko-
czył szybko ode mnie jak od zapowietrzonego. Ni-
gdy przecież nie zrobiłem mu nic złego. Gdybym
wiedział gdzie mieszka, to chętnie bym go odwie-
dził.

Wróciwszy do domu postanowiłem zaniechać dal-
szych wycieczek; odkryty, mogłem być narażony
na śmieszność, w czem byłem i jestem nadzwyczaj-
nie drażliwy.

Trzeciego dnia nieczując siły do dalszej walki,
chciałem jechać otwarcie do Bussonów z odwiedzi-
nami.

Kto wie jakieby z tego wyniknęły następstwa?...

Miałem już wydać służbie odpowiedni rozkaz, gdy
na szczęście czy na nieszczęście przybył do mnie
niespodzianie zupełnie Józef d'Avesnes, z którym
łączyły mnie dawniej serdeczne stosunki przyjaźni.
Czynił on wiele dobrego biednym moim rodakom

mie-zkającym we Francyi, a już ta okoliczność po-
mijając względy osobiste, była dostateczna, abym
go przyjął z całą możliwą uprzejmością.

Zostając pod wpływem opisanych wrażeń i wy-
padków, nie odwiedziłem go dotychczas, co jednak
wypadało uczynić dawno. Zacny jednak d'Avesnes
wyprowadził mnie z kłopotu mówiąc:

— Zajęty pracą, dopiero wczoraj powziąłem wia-
domość o twojej obecności w zamku Verrières. Pra-
dopodobnie mając czas zajęty urządzaniem nowo
nabytej własności nie wiedziałeś o moim pobycie-
na wsi. Między starymi przyjaciółmi zachowywa-
nie zbytich form towarzyskich byłoby niewłaściwe.
Przybywam więc pierwszy z odwiedzinami, z zamię-
rem spędzenia całego dnia, jeżeli nie masz co le-
pszego do czynienia.

Nie będziemy jednak siedzieć w murach pałaco-
wych, ale powiodę cię na szerokie przestrzenie leśne,
gdzie urządzona dzisiaj obława na dziki dozwoli
nam prawdopodobnie spędzić czas bardzo przyje-
mnie.

Rzeczywiście przybrany był po myśliwsku, a wyj-
rzawszy oknem dostrzegłem dojeżdżaczów i maszta-
lerzy z psami, oczekujących na rozkazy.

Z wyjątkiem strzelby, torby i ubrania, nie mia-
łem innych przyborów, a tem samem wybranie mo-
je było krótkie.

Wprawdzie byłbym wolał jechać do Bussonów
ale niepodobna było udzielić odmowy, tyle zacne-
mu młodzieńcowi.

Jechaliśmy obok siebie konno zajęci gwarną ro-
zmową.

Droga prowadziła wśród prześlicznego wzgórza,
z kąd widzieliśmy dokładnie miasteczko E... jakoteż
okoliczne pałace i dworki. Stanąwszy na szczycie
postrzegliśmy na prawo piękny i obszerny pałac
otoczony ślicznym ogrodem, a dalszy krajobraz
z tej strony zamknięty był ciemną ścianą lasu.

— W okolicach zamku pani de la Fare, rozpoc-
niemy prawdopodobnie polowanie, rzekł d'Avesnes,
patrzając dziwnie jakoś na mury pałacu; tam mówio-
no mi, mają być bardzo liczne gromady dzików.

— Ach to pałac pani de la Fare! zawołałem ze
znaczeniem, bo znane mi były dawniejsze dzieje ser-
ca d'Avesnesa.

— Czy ona jeszcze żyje? zapytałem z uśmie-
chem.

— A pani M...? zapytał d'Avesnes.

— Oh! ta umarła, odpowiedziałem, a w mojem
sercu ma wystawiony tak ciężki pomnik, że nawet
w dzień ostateczny nie wskrzesi jej trąba archa-
niola.

— Oh! aż tak, zawołał d'Avesnes. W takim razie
jestem prawie pewny, że tym pomnikiem ochraniają-
cym od wskrzeszenia jest nowa miłość? zapytał
spojrzawszy na mnie badawczo. Panna Józefina jest
prześliczna.

Zaczerwieniłem się słysząc tak niespodziany
zwrot mowy.

— Tak, prześliczna, rzekłem tonem obojętnym,
ale pomówimy o tem w innym czasie, bo sam nie
umiem sobie zdać sprawy z własnych uczuć. Ro-
zmawiajmy lepiej o pani de la Fare, lub jeżeli nie
chcesz, to przejdźmy do innego przedmiotu.

— Rozmawiajmy o pani de la Fare, rzekł d'Ave-
snes głosem swobodnym, bo w naszym jeszcze wie-
ku miłość jest najprzyjemniejszą rozrywką. Otóż
zajęty teraz jestem daniem jej porządnej nauczki,
aby jej odpłacić doznane od niej upokorzenie.

— Nie rozumiem zupełnie co to znaczy? rzekłem
patrzając z zadziwieniem na mówiącego.

— Pani de la Fare oświadczyłem się jak to ci
wiadomo, odpowiedział d'Avesnes, ona wyśmiała
mnie depeząc nogami najszczerzą moją miłość.

Później aby mi dokuczyć, jak teraz zrozumiałem, okazywała jawne względy udekorowanemu bałwanowi. Tymczasem i szyderstwo i dokuczanie mi, były tylko pokrywką jej miłości. Zebrałem w tej mierze najzupełniejsze dowody za pośrednictwem moich kuzynek.

— Wybornie, zatem, rzekłem, padnij jej do nóg, nastąpi zgoda i poprowadzimy was do ołtarza.

— Przepraszam cię bardzo, odpowiedział d'Avesnes, taką drogą nie pójdę bo dbam nietylko o jej miłość, ale i o szacunek. Chcę więc ją złamać, aby opłakała gorzkimi łzami okazane mi lekceważenie.

— Więc jej nie kochasz, rzekłem tonem twierdzącym.

— Z miłością tą zejść do grobu, za to ci ręczę, odpowiedział d'Avesnes głosem wzruszonym.

— Cóż więc chcesz aby zrobiła? zapytałem ze zdziwieniem.

— Chcę ją doprowadzić do tego, odpowiedział d'Avesnes, aby mi się oświadczyła pierwsza, błagając z żalem serdecznym o wybaczenie jej okazanego mi lekceważenia.

— Wątpię, aby zamiar podobny mógł być uwieńczone powodzeniem, rzekłem z najzupełniejszym przekonaniem.

— W takim razie, odpowiedział d'Avesnes, będziemy na siebie spoglądać z daleka do końca życia.

— Czy wytrzymasz?

— Przebyłem już czas najgorszy, odpowiedział d'Avesnes, bo czas początkowy; teraz nabrawszy większego hartu nie będę potrzebował prawie żadnego wysiłku do dalszej walki. Nie chciałbym rozpocząć w dziejach Francji nowej epoki przewagi meralnej kobiet nad mężczyznami.

Zamyśliłem się głęboko nad wyrażonym poglądem d'Avesnesa. Nie można mu było odmówić słuszności. Mężczyzna zawsze i w każdym razie powinien umieć wywołać mimowolny szacunek w kobiecie. Nie powinien się stawić nigdy w tem położeniu, nawet w miłości, aby mógł być lekceważonym. Określenie to rozumiem doskonale w teorii, ale prawdopodobnie nie umiałbym go wprowadzić w wykonanie. Niedawniej bowiem jak wczoraj, postąpiłem bardzo niewłaściwie błędząc jak dzieciak po parku, zamiast z mężkim pokojem oczekiwać w domu na odpowiedź Józefiny. Gdybym był na miejscu d'Avesnesa, to już dawno spoczywałbym a stóp pani de la Fare. Patrzyłem na niego z pewnym rodzajem podziwienia, a nawet powiedzmy prawdę, z pewną mimowolną zazdrością.

Przerwaliśmy chwilowo prowadzenie dalszej rozmowy; ze szczytu góry prowadziła wązka leśna dróżyna, nie mogąca pomieścić dwóch jeźdźców obok siebie.

U stóp góry w odległości pół kilometra, poprowadzoną była droga bita w prostym kierunku ku lasowi, przechodzącą niezbyt daleko od pałacu pani de la Fare.

Na tej drodze dostrzegliśmy piękny odkryty powóz ciągniony przez ręce konie. Siedziała w nim kobieta a obok powozu jechało dwóch jeźdźców. Kilku służących w tyle powozu, prowadziło na smyczach liczną gromadę ogarów.

D'Avesnes nie mógł rozpoznać myśliwych; promienie słoneczne bijące właśnie z tej strony, przeszkadzały swobodnemu działaniu wzroku.

— Po-pieszajmy, rzekł towarzyszy, bo znam prawie całe sąsiedztwo, to i osoby jadące nie mogą mi być obce. Zaciekawiony zaś jestem bardzo szczególnym kierunkiem drogi przez nich obranej.

Spadzista dróżyna poprzecinana korzeniami drzew, nie dozwoliła na ściśle wykonanie zięcenia

d'Avesnesa. Skoro zjechaliśmy na dolinę, nieznamy orszak docierał już do lasu, ale zamieniwszy dotychczasowy pośpiech na powolną nadzwyczaj jazdę, jakby oczekiwał na nasze przybycie. Przyopuszczenie to nie było prawdopodobne, bo znajdując się na wzgórzu w pośród drzew byliśmy dla niego niewidzialni, a skoro stanęliśmy na miejscu odkrytem, to prawie jednocześnie orszak znikł w lesie. Potrzebowaliśmy kilka minut czasu do przebieżenia dzielącej nas odległości. Dzielne rumaki poniosły nas szybko, gdy nagle dojechawszy do drzew usłyszeliśmy w oddaleniu przeraźliwe krzyki niewieście, wystrzał z broni palnej i skowyczenie psa.

Na zagięciu drogi bitej rozpostarł się przed naszymi oczami obraz niespodziany zupełnie. Dwóch mężczyzn usiłowało schwytać młodą panią i widocznie uprowadzić ją przemocą.

Kobieta siedząca w powozie niby głosem czułym a rzeczywiście chrapowatym mówiła:

— Eugenio! nie stawiaj oporu, bo obowiązana jesteś znajdować się nie gdzieindziej tylko w domu twej matki przybranej. Przytuliłam cię w sierotwie jak własną córkę, poniosłam wydatki na twoją edukację, a tem samem obowiązana jesteś do posłuszeństwa. Siadaj natychmiast, bo się rozgniewam naprawdę na ciebie i gotowa jestem skarcić cię surowo.

Druga zaś kobieta znajdująca się na łączce wzywała na ratunek bijąc jednego z mężczyzn po plecach trzymanym w ręku parasolikiem.

Panią prowadzoną już do powozu, rozpaczliwym szarpnięciem potrafiła wyrwać się na chwilę z rąk napastników. Właśnie w tej chwili dobiegliśmy do wzmiankowanej łączki.

D'Avesnes widocznie od razu zrozumiał znaczenie zajścia, bo krzyknął z większym niż kiedykolwiek oburzeniem:

— Ah! łotr niegodziwy! widocznie nigdy nie da pokoju, tej zacnej i szlachetnej panience.

Mówiąc to poskoczył na miejsce walki zacinając w twarz szpicrutą jednego z mężczyzn, a koń osadzony zręcznie na miejscu, w dodatku uderzył go silnie piersiami, obalwszy jak kłodę na ziemię. D'Avesnes bezzwłocznie przygniótł kolanem pokonanego nieprzyjaciela.

Chociaż w sprawie niezrozumiałej zupełnie dla mnie, nie chciałem jednak zostać bezczynnym. Pochwyliłem drugiego napastnika za szyję zakręciwszy silnie krawat i koszulę na sposób włóścian polskich. Oczy i język wyszły mu na wierzch, ale jednocześnie spojrzawszy zbliska na jego twarz poznałem Pawła Mercier.

— A ty co tu robisz? zapytałem ze zdziwieniem.

— Na miłość boską puść mnie a szczególnie nie wymieniaj mego nazwiska, odpowiedział Mercier głosem błagalnym. Przez wdzięczność opowiem tajemnicę nader ważną dotyczącą pana w sposób bezpośredni. Puśćcie nas wolno, tego głupca Pigrenier wysłę do domu, a sam oczekiwać będę na przybycie pana w jego zamku i dotrzymam ściśle zrobionej obietnicy.

Tymczasem Pigrenier dokładał wszelkich możliwych usiłowań: aby wydobyć się z pod cisnących go kolan d'Avesnesa.

— Proszę mnie puścić, mówił głosem przytłumionym, proszę mnie nie znieważać, nie zasłużyłem na to. wołał Pigrenier w największym uniesieniu, musisz mi dać zadość uczynienie.

— Bardzo chętnie, odpowiedział d'Avesnes, właśnie chciałem ci dać do wyboru, albo strzelać się natychmiast ze mną, albo też być odprowadzonym

do pierwszego urzędu, gdzie rozpoczętą będzie sprawa o napaść na publicznej drodze.

Przyjmując pojedynkę natychmiastowy, mówił Pigrenier głosem groźnym i stłumionym.

Puszczony wolno wstał z ziemi i odszedł na stronę, chcąc jak mówił oczyścić się a zarazem na wszelki wypadek zostawić odpowiednie rozporządzenia. Żądanie było słuszne, d'Avesnes przeto skinięciem głowy dał przychylną odpowiedź na stawiony w tej mierze wniosek.

Panią oswobodzoną z rąk napastników podskoczyła szybko ku ogromnemu psu, leżącemu bez ruchu w odległości kilku kroków. Uniosła jego głowę ocierając chustką skrwawione piersi.

Daremny był jednak wszelki ratunek, pies trafiony kulą w samo serce żyć przestał. Widocznie sprawiło to jej wielką boleść, łzy strumieniem płynęły po jej twarzyczce bladej z przerażenia.

Wówczas dopiero zwróciwszy na nią baczniejszą uwagę, poznałem w napadniętej znajomą mi pannę Eugenię Laval, która kiedyś tak zachwyciła mnie swoją grą nieporównaną.

Dawniejsze jednak wrażenie było niczem w porównaniu z obecnem.

Stanąłem w prawdziwym osłupieniu...

Eugenia również mnie poznała, ale jakiego doznała wrażenia nie wiem wecale, bo nachyliwszy twarz swoją ku głowie psa, jakby badała jego oddech, została długo w tej postawie.

W trakcie tej napastniczej sceny, nadbiegł od strony pałacu jakiś mężczyzna wysoki, okazałej postaci, ubrany nader starannie, chociaż zbyt krótka żakietka i kolorowany żakiecik dziwnie jakoś wyglądały przy jego postaci dosyć otyłej. Trudno było powstrzymać mimowolnego uśmiechu na widok jego podskoków z jakimi witał hrabinę. Widocznie była ona przedmiotem jego zajęcia, ale nie wyłącznego, bo spojrzenia swe rzucał naprzemian to na piękną kobietę to na czerwoną wstążeczkę pomieszczoną z pychą na jego piersiach, a będącą oznaką otrzymanego krzyża legii honorowej.

Objaśniony o zaszłym wypadku, rzekł:

— Doprawdy rzecz szczególna, dziwny zbieg okoliczności nastęcza zawsze panu d'Avesnesowi sposobność wyświadczenia ważnej usługi naszej zacnej uwieńczonej.

Nie tyle w samem określeniu, ile w dźwięku głosu można było dostrzedz pewien odcień szyderstwa.

— Dlaczegoż tak późno, panie Chevalier? zapytała hrabina głosem jedwabnym, jakby chciała zwrócić rozmowę w inną stronę.

— Ważne sprawy, odpowiedział zapytany, nie dozwoliły mi przybyć weześniej. Dostojeństwa i zaszczyty, mówił rzuciwszy wzrokiem na wstążeczkę, mają swoją odwrotną stronę, szczególnie skoro nam zabierają czas jaki moglibyśmy spędzić w towarzystwie najpiękniejszej i najrozumniejszej kobiety.

— Zakazuję panu być pochlebcą, rzekła pani de la Fare z czarującym uśmiechem.

— Opóźnienia mego zawsze żałuję... ale stało się odrzekł Chevalier z największym ugrzecznieniem. A teraz czy pani hrabina życzy sobie użyć pszechadzki po lesie, czy też wrócimy do pałacu?

Zanim pani de la Fare zdążyła odpowiedzieć, podszedł ku nam lokaj w liberyi i wręczył mi kartkę zapisaną ołówkiem.

Była to kartka od Karola Pigrenier następującej osnowy.

„Ponieważ nie jestem głupi, więc nie przyjmuję pojedynku. Pan d'Avesnes chciałby mnie zabić, aby mu nikt nie przeszkadzał w pozyskaniu względów pięknej Eugonii. Ceniąc życie nie chcę być zabitym a także nie myślę zabić nikogo, bo nie ży-

czę sobie siedzieć w więzieniu. Prawdopodobnie panna Eugenia nie będzie należyć do żadnego z nas, bo ona kocha Góreckiego. Ten znowu zajęty jest panną Józefiną Busson, a tym sposobem pomszczonym będę za wszystkie krzywdy doznane, tak ze strony panny Laval jakoteż ze strony pana d'Avesna.

— Co to jest? zawołałem niewymownie zdziwiony. List nie do mnie pisany, i z odpowiednią zmianą w zmianie mnie dotyczącej przeczytałem go głośno.

D'Avesnes zbladł. Położenie było dosyć kłopotliwe, hrabina jednak z przedziwną znajomością świata wyprowadziła nas z takowego mówiąc:

— Ubliżylibyśmy sobie zajmując się dłużej taką osobistością jak pan Karol Pigrenier. Trzeba wrócić do właściwej nam wesołości i swobody. Zaszły wypadek pokryjemy niepamięcią, a tymczasem proszę panów na śniadanie, bo jako właścicielka miejscowości na jakiej się znajdujemy, wedle dawnego obyczaju mam prawo wymagać odpowiedniego okupu od przechodzących.

W tem od strony drogi doszedł nas chrapliwy głos niewieści.

— Panie Waksfeld! Panie Waksfeld! wołała kobieta siedząca w powozie, wrócimy razem nie pozostawiaj mnie samej...

Próżne jednak były jej wołania; Mercier czyli niby Waksfeld, prawdopodobnie przestraszony moim widokiem, uciekł niepostrzeżenie.

Chevalier widocznie uważając siebie za w pół przyjętego narzeczonego, upoważnionym być się sądził do poprowadzenia pani de la Fare, ale ta odwróciwszy się zrzęcznie mnie podała swoją rękę. D'Avesnes szedł z Eugenią.

— Biedna Eugenia, mówiła pani de la Fare za ledwie dotykając mego ramienia, znosi tyle przykrości ze strony tego niegodziwego Pigreniera. Obrabiał on szczególną drogę postępowania, zamiast poprosić wręcz o jej rękę szuka zawsze środków najmniej właściwszych. Raz naprzykład, pogroźką zabił poezciwego psa, który dzisiaj zginął w obronie swej pani, zniewolił wracającą od pracy Eugenię późnym wieczorem do przyścia w jego towarzystwie aż do oficy z mku Verrières, będących ówczesnie jej pomieszkaniem. Była to wspólna intryga z innym jeszcze niegodziwszym człowiekiem. Najzaczniejsza w świecie panienka, spotwarzona i zgromiona najniewinniej, przyjęta śmiechem szyderczym nawet przez ludzi obcych, pozbawiona pracy jedynie tylko dlatego, aby rzucić cień na jej postępowanie: utraciła wiarę w świat, w ludzi, w siebie samą, w samobójstwie szukając ostatecznego środka ratunku.

Zadrzałem przyciskając ręką czoło rozszadane tysiącem różnorodnych myśli.

— Na szczęście, mówiła pani de la Fare, rada miejska oceniając jej wytrwałą walkę z przeciwnym losem, jej cnotę nieporównaną, jej poświęcenie dla przybranej matki, mówiąc między nami niegodnej zupełnie tego: postanowiła uwieńczyć ją jako najenotliwszą panienkę w całej okolicy. Należała do deputacyi zawiadamiającej Eugenię o przyznaniu jej wieńcu cnoty i szczęśliwym zbiegiem okoliczności ocaliliśmy jej życie. Zresztą wszystkie te wypadki miały miejsce w odległości najdalej kilkunastu kroków od pańskiego mieszkania, toć muszą być ci wiadome dokładnie.

Zawstydziłem się jak dzieciak, hrabina dostrzegłszy mój kłopot, prędko odwróciła rozmowę opowiadając młodość Eugonii, życie jej zacnego ojca, a przechodząc do ostatniej epoki dodała:

— Od jakiegoś czasu mieszkam razem ze mną, miałam więc sposobność poznania jej zbliska. Do

dawnej więc życzliwości dołączyłam przyjaźń i uwielbienie dla jej wysokich przymiotów umysłu i serca. Jestem dumną z podobnej towarzyszkii, z prawdziwą więc trwogą myślę o chwili nieodzownego rozstania się naszego. Piękność Eugonii jej wysokie ukształcenie, jej dobroć nieokreślona, zwróciły uwagę wielu ludzi zajmujących niepospolite stanowiska w świecie. Jako chwilowa jej opiekunka, zniewolona jestem czuć, aby wybór był o ile możności najwłaściwszy. Może więc jestem zbyt śmiałą przy pierwszym poznaniu, ale przez wzgląd na osobę tyle mnie interesującą, radabym wiedzieć o ile jest prawdy w twierdzeniu Karola Pigrenier dotyczącem uczuć pana d'Avesna dla Eugonii.

Odetchnąłem, byłbym w największym kłopotcie, gdyby rozmowa była zwróconą na moje pierwsze poznanie z Eugenią. Zapytany o d'Avesna wróciłem do względnego oprzytomnienia mówiąc:

— Z d'Avesnem łączą mnie od dawna najściślejsze stosunki przyjaźni, ot przed chwilą rozmawialiśmy z sobą z największym zaufaniem i otwartością. Twierdzenie więc Karola Pigrenier jest jak najzupełniej nieprawdziwe. D'Avesnes nigdy nie kochał i nie kocha panny Eugonii Laval, chociaż również jak i pani hrabina oddaje niezawodnie wysoką cześć jej przymiotom.

Ręka hrabiny zadrzała, policzki jej okryły się żywym rumieńcem, a po chwili milczenia szepnęła:

— Rzecz szczególna, czemu więc wytłomaczyć jego poświęcenie dla Eugonii? Ot i teraz chciał narazić życie dla jej obrony. Czyżby był jedynym wyjątkiem w całym rodzaju męzkim.

— Co to znaczy pani hrabino? zapytałem ze zdziwieniem.

— Ah! prawda, rzekła pani de la Fare, określenie moje potrzebuje objaśnienia. Chociaż jestem młodą jeszcze, ale przeszłam w życiu wiele bolesnych zawodów. Wytworzyłam może za czarny ale z serca płynący obraz całego rodzaju męskiego. Niech mi pan wybaczy, nie obtuda i samolubstwo jest treścią waszego usposobienia. Jeżeli kiedy stanę powtórnie przy ołtarzu, mówiła zapalając się, to wybiorę pana Chevalier, a wiesz dlaczego? Dla tego że jest najsamolubniejszym i najpyszniejszym z mężczyzn. Jest usposobieniem wszystkich wad właściwych waszemu rodzajowi, a tem samem z pewną pychą będę mogła patrzeć na swego małżonka.

Nie mogłem powstrzymać uśmiechu na tak szczególnie w swoim rodzaju określenie.

— Doprawdy że jestem waryatką, mówiła pani de la Fare, śmiejąc się sama z siebie, ale nie chcę naśladować mężczyzn przedstawiając się za lepszą aniżeli jestem rzeczywiście. Zresztą mniejsza o mnie. D'Avesnes więc nie kocha Eugonii?

— Mogę dać pani na to słowo honoru, odpowiedziałem głosem o ile możności najbardziej stanowczym.

— Czy więc w jego sercu próżnia, czy też takowe skierowane zostało w inną stronę? rzekła głosem tak swobodnym i naiwnym, jakby zrobione zapytanie wymówione było niechęć i bez żadnego dla niej znaczenia.

— Trudno mi zadosyć uczynić życzeniu pani hrabiny, odrzekłem, bo przedewszystkiem musiałbym zażądać upoważnienia ze strony mego przyjaciela. W każdym jednak razie przypuszczenie drugie jest prawdopodobniejsze niż pierwsze.

Pani de la Fare zbladła i w milczeniu poczęła iść szybkim krokiem.

Żal mi jej było: ostatecznie zrobiłem jej przykrość. Ode mnie zależało zbliżyć lub oddalić dwa

serca kochające się, a bez żadnej ważnej przyczyny rozdzielone nieporozumieniem.

— Pani hrabino, rzekłem, czy to co powiem zostanie między nami?

— Z wszelką pewnością, odpowiedziała pani de la Fare.

— D'Avesnes kocha panią zawsze, kocha może więcej niż kiedykolwiek, ale jest dumny i radby aby kochająca kobieta otoczyła go jak największym szacunkiem. Usłyszawszy zaś raz lekceważącą odpowiedź...

— Rozumiem, szepnęła pani de la Fare, żąda zadosyć uczynienia. Tu zamyśliła się przez chwilę. W każdym razie dziękuję panu, dodała, dziwna rzecz, rozmawiamy od kwadransa, a zdaje mi się jak gdybyśmy się znali od wielu lat.

Niech pan przyjdzie jutro na obiad, pomówimy obszerniej.

(d. c. n.)

Przegląd literatury zagranicznej.

MIŁOŚĆ I KOBIETY

wedle współczesnego filozofa niemieckiego.

Niemcy w walce z Francuzami otrzymali niezaprzeczenie pierwszeństwo na polu wojennem, we wszystkich jednak innych względach jak zajmowali tak zajmują stanowiska tylko podrzędne.

Cierpliwi pracownicy oddali wielkie usługi przez drobiazgowo opracowanie różnych szczegółów naukowych, nie potrafili jednak nigdy wytworzyć idei powszechnych, objawiając na tem polu zupełny brak twórczości. Wyoobrażenia ich ogólne dotyczące materii lub ducha, są pożyczone od Francuzów lub Anglików i posunięta do przesady. Jeżeli zaś niekiedy okażą pewną samodzielność, to niewątpliwie wszechświat zechcą ująć obrębami własnego państwa jak to ma miejsce w pracach Hegla, lub też wytworzą systemat chorobliwy, na wzór słynnego ich filozofa Schopenhauera.

Do podobnych uwag nastęczyło nam sposobność dzieło przetłumaczone z języka niemieckiego na francuzki przez pana Bourdeau i ogłoszone drukiem w Paryżu pod tytułem: Schopenhauer *Myśli, zasady i ustępy*.

Wielki myśliciel niemiecki za wzorem Micheleta, Foussenela i innych pisarzy francuzkich, zajmuje się również kwestyą kobiet i miłości, ale z różnego zupełnie stanowiska.

Uczeni francuzcy dążą do zidealizowania kobiety; przeciwnie pisarz niemiecki tonie w najgrubszym materializmie, i nie tylko nie zapowiada nowej epoki, ale usiłuje nieomal zatracić dotychczasowe jej zdobycze.

Schopenhauer odziera miłość ze wszelkiego pierwiastku szlachetniejszego. Jest ona dla niego niczem innym jak tylko jak się wyraża, instynktem naturalnym. Instynkt ten jednak wywiera wpływ przeważny na wszystkie sprawy ludzkie, wypełnia prawie życie i jest ostatecznym celem wszystkich naszych usiłowań. A jednak, jak powiada ten nowożytny materialista, instynkt ten wywiera wpływ szkodliwy często na sprawy najważniejsze, odrywa od zwykłych zajęć; silne umysły przywodzi do prawdziwego obłąkania, ośmiela się przeciskać do skrytych działań dyplomatycznych lub prac uczo-nych, z wpływem jak najszkodliwszym; nie szanuje nawet poważnych głów ministerjalnych, składając w ich tekach słodkie bileciki i kosmyki włosów przewiązanych różową wstążeczką: oddziaływa czę-

sto jak najszkodliwiej na stosunki ludzkie; przerywa najściślejsze węzły przyjaźni, ofiarami jego bywają rzeczy najcenniejsze dla człowieka, jak majątek, zdrowie, stanowisko, szczęście i t. p.; z człowieka uczciwego robi łotra, szlachetnego zamienia na zdrajcę; jednym słowem instynkt ów niegodziwy jest prawdziwie piekielnym pierwiastkiem, usiłującym wszystko zburzyć, uszkodzić lub zniweczyć.

Odetchnijmy trochę po odczytaniu okresu tego prawdziwie niemieckiego, w którym, jak powiada Schopenhauer bardzo sprawiedliwie, pisarz należący do tej narodowości usiłuje sześć rzeczy powiedzieć na raz.

Dalej zapytuje nowożytny myśliciel, dlaczego rzecz tak nader prosta z natury w następstwach swych sprowadza tyle trudów, kłopotów, zmartwień i udręczeń? Zapytanie to widocznie uznał filozof niemiecki za niepodobne do rozwiązania, bez szczególnego natchnienia gieniuszu. Na podobieństwo Archimedesza, ogłasza światu z największą radością zdobytą przez siebie prawdę; instynkt naturalny, mówi on, jest źródłem następnego pokolenia, a tem samem podstawą dalszego rozwoju ludzkości.

Po wykryciu w swoim mniemaniu nieznanego dotychczas prawa, Schopenhauer popada w chorobę właściwą niektórym uczonym niemieckim, objawiając pychę niesłychaną, prawdziwie szatańską. Dzieło stworzenia dokonane zostało, powiada, w warunkach jak najgorszych; wszechświat jest objawem błędu i niczem więcej, nędza zaś powszechna udziałem wszystkich stworów a szczególnie człowieka.

W tym stanie rzeczy Schopenhauer ani mniej ani więcej tylko postanawia zniweczyć dzieło Boże.

Gdyby mógł prawdopodobnie obrociłby kulę ziemską, planety, słońce i wszystkie gwiazdy stałe, drogę mleczną i wszystkie mgławiska w pierwotny chaos. Nie mogąc sięgnąć tak daleko, tworzy pomysł cząstkowy, będący środkiem radykalnym do zraty rodu ludzkiego. Wzywa obydwie jego połowy, aby żyły w zupełnym rozdziale, tak aby obecne pokolenie było ostatniem, i przerwana była nareszcie nędza właściwa człowiekowi.

W tym czasie właśnie zaszedł wypadek bardzo pocieszny, który zabawił wiele literatów francuzkich. Sprawdzonem zostało, już nie wiem po raz który, owe znane prawidło zupełnej różnicy u Niemców pomiędzy teorią a praktyką. Największy nawet tegoczesny myśliciel z nad brzegów Sprei nie jest wolnym od tej wady, w chwili w której apostołował zagubę rodu ludzkiego, mały Schopenhauer powitał nędzną kulę ziemską, jako owoc związku nieuznanego ani przez kodeks cywilny, ani też przez prawa kościelne. Nieograniczoną pychę ośmielającą się wyzywać do walki samego Stwórcę, okryto zasłużonem pośmiewiskiem.

Po doznanych szwanku filozof niemiecki uznał dalszy byt rodu ludzkiego za konieczność, postanowił go tylko po swojemu zreformować. Przewszystkiem ebrystyanizm zastąpi mahomatyzmem czyli jednożeństwo wielożeństwem. W tym razie przynajmniej teoria i praktyka zostają w zupełnej zgodzie; Schopenhauer upatruje wszędzie i bez najmniejszego wyjątku polygamią, tylko nie zorganizowaną i nie uprawnioną. O dalszym rozwoju godności rodu niewieściego nie może być nawet mowy, kobieta europejska nadaneby miała stanowisko Turczynki i nic więcej. Powinna być tylko dobrą gospodynią, kobiety bowiem z wyższem wyrobieniem duchowem tak nazwane *damy*, Schopenhauer nazywa plagą rodu ludzkiego. Jest to stan rzeczy wstrętny, przeciwny naturze; powtarzamy jego zdania, *dama* jest objawem najbardziej chorobliwym, skrzywionej cywilizacji chrześcijańsko-germańskiej.

Kobieta na stanowisku najbardziej niopodległym, nie może zachować samoistności: w młodości ulega mężczyźnie którego kocha; w starości słucha spowiednika, rządzącego samowolnie jej sumieniem. Kobiety, powiada przemądrzały filozof, są istotą pośrednią pomiędzy mężczyzną a dzieckiem.

W osiemnastym roku życia dochodzą do zupełnego rozwoju umysłowego, przechowując przez całe życie rozum osiemnasto letni. Korzystają z kilkuletnich wdzięków młodości, aby podbić wyobraźnię i serce mężczyzny, a tem samem skłonić go do zajęcia się ich losem przez całe życie. W głębi duszy są przekonane, że Bóg na to stworzył mężczyzn aby zarabiali pieniądze, a kobiety aby je wydawały.

Filozof niemiecki nie może zrozumieć w żaden sposób, dlaczego kobiety nazwane zostały piękną? Każe je nazywać istotami nieestetycznymi. Nie ma w ich postaci, powiada, najmniejszej proporcji: są niskie, mają wąskie ramiona, szerokie biodra, krótkie nogi, co wszystko razem wzięte stanowi widok nieosobliwy.

Dotychczasowy wywód zdaje się być dostateczny do okazania, o ile są płytkie i powierzchowne niby uczone wywody Schopenhauera. Oryginalnością poglądów chciał zwrócić na siebie ogólną uwagę, co mu się udało do pewnego stopnia. Posłuchajmy jednak niektórych zdań moralnych ogłoszonych przez niego jako pewniki.

Mężczyźni w ogóle są dla siebie obojętni: stanowisko jakie zajmuje mężczyzna zależnem jest od bardzo wielu okoliczności, u kobiety jeden wzgląd znaczy wszystko, mężczyzna któremu potrafiła się spodobać. Gdzieindziej wyrzuca kobietom ustawiczne szczebiotanie w teatrach podczas najpiękniejszych ustępów, arcydzieł dawniejszych i współczesnych. Dawne wyrażenie: kobieto milcz w kościele! chce przekształcić na kobieto milcz w teatrze!

Zdanie to mniej razi aniżeli następujące.

Każde stworzenie ma właściwą sobie obronę, lew ma zęby i pazury, słoń kły, wół rogi, niektóre mięczaki bronią się w niebezpiecznej na siebie napaści brudząc wodę czarną farbą; kobieta we wszystkich chwilach swego życia szuka środka ratunku w skrytości i udaniu, są to siły dane jej przez naturę, i dlatego kobiety zupełnie szczerzej nie można znaleźć na całej kuli ziemskiej. Przyznaje im jednak ważne przymioty, litość, ludzkość i współczucie dla nieszczęśliwych, ale za to uznaje ich niższymi od mężczyzn pod względem wyobrażeń o sprawiedliwości, słuszności i niewzruszonej nigdy prawości.

Nie tak nie razi w pracach niby poważnych, bez względu na ich rodzaj, jak sprzeczność zdań.

Wada ta jest dosyć pospolita w systemacie ułożonym przez Schopenhauera. Dowodzi naprzykład raz, że z natury rzeczy mężczyzna jest niestałym w miłości a kobieta odznacza się przymiotem wierności, dochowywanie wiary małżeńskiej jest sztucznem u mężczyzny a u kobiety naturalnem; w innym jednak miejscu zapominając o poprzednich wywodach, zarzuca kobietom skłonność do zdrady i niewiary. Z równą niesprawiedliwością jak rodzaj niewieści sądzi i niektóre ludy europejskie. Pod tym względem czytamy zdanie niegodne już nie powiemy filozofa, ale człowieka poważnego. I tak powiada: inne części kuli ziemskiej mają małpy, Europa posiada Francuzów co brak ten w zupełności zastępuje.

Filozof niemiecki okazał tu grubą nieznamość sąsiedniego narodu. Francuzi zgrzeszyli prędzej zarozumiałością i pychą aniżeli chęcią naśladownictwa. Posiadając wielkich pisarzy w wieku XVII i XVIII, których utwory czytał z uwielbieniem cały świat ucywilizowany; odniósłszy świetne zwycięz-

stwa w epoce wielkiej rewolucji i za Napoleona I-go chcieli wystarczyć sami sobie patrząc na inne ludy choć grzecznie i uprzejmie, ale z uczuciem nadzwyczajnej wyższości. Rok 1870 wyprowadził ich ze złudzenia, okazał ich niższość w wielu względach, ale jednocześnie uwydatnił właściwy im przymiot zdrowego sądu, Różnorodni publicyści zaczęli badać źródło złego, tłumaczyć przyczyny upadku dawnej świetności; nie oszczędzano wcale miłości własnej posuwając nieraz surowość aż do zbytku.

Zrozumiano nareszcie prawdę o ściślejszej łączności wszystkich ludów. Żaden naród nie wystarczy samemu sobie: jeżeli w jednych względach jest mistrzem i nauczycielem, w drugich koniecznie musi być uczniem i naśladowcą. W tym stanie rzeczy nazwanie Francuzów małpami jest tak prawdziwem, jak prawdziwem jest i owo określenie, że najmniej powabnem stworzeniem na kuli ziemskiej jest kobieta.

WYSTAWA OBRAZÓW

Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych.

Papieski Zygmunt: studjum z natury. Przysłuchiwałem się różnym zdaniom co do tego obrazu. Zarzucają mu jedni, że stosunkowo do tego, co przedstawia, jest za mały; inni powiadają, że nie dość jasno przedstawia widzowi myśl malarza; inni wreszcie przyczepiają się do technicznej strony obrazu. My, zgadzając się poniekąd na część małą każdego z tych zarzutów, — musimy jednakże objawić jednym zdaniem: iż praca p. Papieskiego wydaje nam się „ładną.“

Widzimy bardzo piękną kobietę, która owinięta, jakby się tuliła przed zimnem, w szal czy chustkę, leży na jakimś podłożu, trzymając wabnie przechyloną głowę na poduszce. Twarz, słicznej karnacji, biała, szerokie czoło, gładkie jak alabaster, świecące ciemne włosy, czynią ją bardzo piękną, młodą i bardzo wdzięczną. Studium jest z natury, musi więc kobieta być taką... Trzyma w pół przymknięte oczy, znać z pod powieki że czarne, duże i melancholijne, zapatrzone w punkt jakiś, którego miejsca wskazać byśmy nie mogli, i... jakby zasypiając marzy. To opuszczenie się całego ciała miękko na poduszkę, to przytulenie się do podłoża z pieszczotą, ten pół sen myśli i uczuć, który gra wyraźnie na twarzy przedstawionej osoby, zniewalając prawie widza, aby przechodził na palcach, — stanowi wielki wdzięk obrazu i pokazuje, że p. Papieski dobrze *studjował*. Korzystamy tym razem, z samego tytułu obrazu, aby pochwalić artystę; może powiedzielibyśmy coś więcej o nim mając czas do bliższego określenia zalet pracy którą oglądamy. Swoją drogą, utrzymujemy, że ci którzy domagali się zwiększenia objętości utworu największą ze wszystkich mieli słuszność. Ileżby *studjum* zyskało na pełności, na jasności, na wdzięku w ogóle; gdyby przedstawiało nie połowę, a większą część przynajmniej postaci, wyobrażanej osoby! Co do strony technicznej, to chusta czy szal, w którą owinięta jest kobieta, byłaby daleko piękniejszą bez tych jakichś plam ciemno-zółtawych, które ją szpecą i czynią jakby zabrukana.

Abramowicz Bronisław: Dama z medaljonem. Zbliżasz się i... chcesz się ukłonić osobie, na którą spojrzales. Widzisz damę w pysznej biało atłasowej sukni, o twarzy nadzwyczajnie miłej, myślącej, o regularnych wdzięcznych rysach. Sama stoi,

smagła postawą, z wyniesioną jak alabaster szyją, która przegięła się także w ślad główki o cudownych płowych włosach, dlatego, że osoba która tę białą szyję posiada, patrzy w medaljon, trzymany w ręce i klejnoty jego... *moralne czy materialne* (?) obserwuje. Portret dziecka tam może, a może kogo innego? A może damę zachwyca tylko samo złoto?... Tak czy owak, chcesz się, powtarzamy, ukłonić... tak żywym jest to wszystko, tak prawdziwym przed tobą. Oczy wpatrzone w medaljon, mają dziwnie jakiś melancholijny i rzewny wyraz... rzęsy oceniają je długie, brwi łukami wdzięcznymi zagięte, oceniają je bardziej jeszcze... a swoją drogą ogień z pod rzęs tych, z pod brwi wystrzela i zlewa się tak prosto ze złotem, że nie wiesz, co świeci: medaljon, czy oczy? Jeżeli to portret, to potrzebowałibyśmy jedno tylko jeszcze wiedzieć: czy wiernym jest względnie do oryginału? Gdyby tę zaletę posiadała jeszcze praca p. Abramowicza, powinszowałibyśmy mu jej szczerze. Osobliwie... tak miśternego oddania tych włosów płowych, prawie białych, jakie zdobią główkę przedstawionej osoby. Zdaje się jedwab' złotawy, zeszyły świeżo z przędzy i blask w nim igra sobie, jak... w wodzie!

Sidorowicz Zygmunt: Wschód księżycy. Lato. Spalona od słońca trawa i cała zaroił żółcieje... W powietrzu czuć duszność skwaru... Słyszysz, zdaje się, jak niewidzialne muszki brzęczą w powietrzu i krówka polna, zielone rospiąwszy skrzydła, ciężko nad krzakiem gdzieś szeleści... Ustroń wiejska, — choć wsi nie widać. Prowadzi tylko do niej biała droga... z pola zkądś dalekiego, z gąszczy, przez parów, po kładce — nad ugięciem, co pochyłością swoją zajmuje dół cały, ku dwóm brzozom, żółconym także od skwaru; ku wieży sterczącej skromnym szczytem w powietrzu, ku kościółkowi czy domostwu jakimś (a źle, że to jest niewyraźne), które głównie właśnie uwagę widza skupiają na sobie. — Oto obraz p. Sidorowicza. Dodają mu życia i prawdy jeszcze. — ludzkie postacie. Pastuszek jakiś widocznie, rozdmuchał sobie ogień na pochyłości ugoru, aby upiec kartofle... wtedy, kobieta jakaś z dwójkiem dzieci przechodziła drogą... Dzieci pozostawiając matkę, dalejże do ognia. I patrzy się to dużymi oczami — i obserwuje i nie myśli odchodzić wcale, mimo, że matka oddaliwszy się już o kilkaście kroków, ogląda się za nimi i wyraźnie je przywoływa.

Koszulki na dzieciach, zdaje się, trząść od ruchu ciała, podczas tej obserwacji małątek, tego ich zaciekawienia... tak to wszystko prawdziwie i naturalnie jest oddane! Bardzo to ładny pejzaż.

Z naszej strony moglibyśmy jeden zarzut zrobić mu tylko: dlaczego główne szczegóły obrazu, mianowicie wieżyczka z zabudowaniem obok są tak niewyraźne, tak niejasno jakoś odmalowane? Kościółki wiejskie wprawdzie u nas bardzo często podobne są do prostych chałupek, tak jest... jednakże gdy się już do nich zbliżamy, każdy wie czy zdjąć przed tem czapkę, czy też ją pozostawić na głowie? Otóż z tą czapką nie wiedziałby widz pobożny co zrobić, znalazłszy się nagle przed domostwem z lewej strony obrazu p. Sidorowicza.

Przydałoby się też kilka owieczek, skubiących trawę gdzieś tam w głębi, parę krówek spoczywających, z nogami podkłączonemi pod siebie, jeszcze coś może z żywych przedmiotów, któreby dodać gdybym był malarzem.

Niech ta uwaga nie kłopotuje jednak pana Sidorowicza!

Mirecki Kazimierz: Wodnice, należą do tych niewykończonych, niewypełnionych, pomysłańskich na lek ko prac artystycznych, przed którymi widz sto-

jąc, żałuje że *myśl ładna, ładny temat*, spożytkowane zostały niedbale. Mówimy niedbale; bo wiemy przecież że panu Mireckiemu nie brak na talent, dowiódł tego kilkakrotnie innemi już pracami. Dlaczego więc te *Wodnice* tylko tak słabo oddane? Czemu tam tak mało wody a drzew tam wiele? Czemu to wszystko: i drzewa te i woda, białego takiego *uienaturalnego* koloru? Wieniec tych dziewic i luskających się w kąpiel i igrających po nad brzegiem, bardzo wdzięcznym jest wprawdzie, jeżeli idzie o piękność twarzy, ale trzymając się takim kołem za ręce i tańcząc wesoło, czemu tak niewyraźnie tłomaczą widzowi: *czem są, i dlaczego to robią?* Wprawdzie zabawa sama sobie jest celem, nie pytamy się też nigdy: dlaczego się bawimy, ale kiedy tu taniec ma stanowić zapewne rys jakiś charakterystyczny, potrzebny do objaśnienia treści obrazu! I rozumiemy mało i mało odczuwamy, co zmuszeni jesteśmy, niestety, wyznać to otwarcie p. Mireckiemu. A szkoda! bo obraz z tematu swojego, mógłby do bardzo pięknych należeć.

W głębi prawej strony, w gąszczy rysują się jakieś postacie, mężczyzn wyraźnie, ku którym, jakby z groźbą i gniewem, jedna z *Wodnic*, stojąc odłączona od reszty towarzyszek, jakby na palcach, aby dojrzyć lepiej, twarz zwróciła swoją. Co to ma wszystko znaczyć? Nic nie rozumiemy. W istocie obraz potrzebuje komentarzy, aby widz domyślił się o co w nim idzie? A jest to wielką wadą.

Eljasz Walery: Przewodnik Tatrzański. Oj, te Tatry nasze! Iluż one już artystów, poetów, natchnęły! Ilu piersiom zmęczonym użyczyły zdrowego powietrza, ilu cierpiących wąpiących o Bogu, rozczarowanych do życia, uzdrowiły, dowodząc że Bóg jest pełnym miłości jeżeli takie piękne rzeczy utworzył! i życie nie jest snąc nieznośnem gdy daje takie czary cudowne.

Pan Eljasz widać miał wszystko to na pamięci. Nietyle to poznać można z odmalowania Tatr samych, gdyż płótno przedstawia tylko spadzistość jednej górskiej wyżyny, dającej mało wyobrażenia o tem czem jest łańcuch Tatrzański, w całej swojej grozie, ale to, cośmy powiedzieli wyżej, poznać można z ożywionych ogniem ciekawości oczu, z promieniejących weselem twarzy, z ust uśmiechniętych które mają osoby, zaczynające się wspinać na wierzchołki.

Jest ich trzy: puściły się na wycieczkę z przewodnikiem. Biała ściana góry pnie się wysoko w przestrzenie niedościgłe, mając u szczytu orła z zamyślonem okiem co snąc nie rad temu co widzi w dole, bo skrzydła najeżył i dziób nastawił buntowniczo. Nie straszy to jednak przewodnika, który z toporem w ręku tnąc ostrzem w skałę, pokazuje podróżnikom jak i oni zdobywać mają wierzch góry. Odwrócił się właśnie twarzą ku dołowi, do pierwszego turysty, który tuż za nim podąża — a ten, widocznie do trudów podróży podobnych jeszcze nienałożony, z uwagą słucha objaśnień górala. Za nim — niżej — podąża takim samym sposobem, drugi młodszy od niego i trzeci jeszcze najmłodszy i najprzystojniejszy ze wszystkich, który snąc, prócz gór miłości, ma jeszcze i co innego w sercu, gdyż zamiast patrzeć ku szczytom, w dół skierował całą uwagę i oczy, żegnając tam kogoś z wdzięcznem ust zgięciem do całusa bardzo zbliżonem.

Może rozstaje się z siostrą albo matką i może z żoną? Ale za młodym jest na poważny stan małżonka. Może więc z ukochaną albo narzeczoną, co najprawdopodobniejsze bo podróżnik zdjął z dziwnej gracyą czapkę i... cały układ twarzy jego mówi, że chce się jej wdziękiem komuś przypodobać.

Taka jest treść obrazu p. Eljasza.

Płótno jest duże — technika utworu nie pozostawia nic do zarzucenia, w głębi, w perspektywie żółcieją w mgłę jakiejś szarej, szczyty gór płowe... oto cośmy jeszcze chcieli dodać i za co wszystko podziękować jeszcze artyście.

Sowiński Edward: Widok Koloseum z palacu Cezarów. Kto był w Rzymie i widział tę starą pamiątkę przeszłości, świecąca jak szkielet grobowy, ten przyzna, że p. Sowiński *patrzył* tym razem *dobrze* i pędzel dobrze oddał, co obserwował *artysta*. W istocie, my, którzyśmy osobiście stali przed murami wyobrażonemi na obrazie, nie spodziewaliśmy się wcale, aby te, przeniesione na płótno, mogły tyle jeszcze wywierać efektu i... tak mało stracić na wspaniałości swojej, w obec tego, czem są w naturze. Jaskrawa ich czerwoność, bezład kolumnady, szarosc zakątów i zagięć, wytworzone starością czasu, który przepłynął już po nad ścianami temi — wszystko to jakoś na obrazie wyszło wybornie i tak plastycznie, że prawie samą rękę skłania do doświadczenia, czy, na co patrzymy, odmalowanem jest tylko, czy też rzeczywiście stoi w całej prawdzie przed nami?

Wielka to zaleta u malarza, biorącego pędzel, dla przekazania potomności pamiątek dawnych wieków. Powiedzielibyśmy tylko, że płótno, względnie do potrzeby, jest za obszerne i że będąc takim, niedość odpowiednio zostało spożytkowane. Akcesorya mianowicie z prawej strony, szwankują trochę brakiem plastyczności, tak, że zdać sobie trudno sprawę, na jakim tle obraz w tem miejscu się opiera?

B. A.

Przegląd literacki.

Kwiaty naszych mieszkań przez *Edmunda Jankowskiego*, Warszawa 1880 r. z drzeworytami.

Począwszy od wygodnie urządzonego palacu aż do skromnego poddasza lub podziemia, wszędzie spotkać się można z kwiatami, hodowanemi we wspaniałych wazonach lub zwyczajnych glinianych doniczkach.

Kwiaty stawszy się dla nas pewnego rodzaju potrzebą niemałe oddają nam przystugi nie tylko pod względem estetycznym ale i higienicznym. W zimie rozweselają oko swoją barwą zieloną, a w lecie napełniają powietrze przyjemną wonią.

Podczas każdej ważniejszej uroczystości bez kwiatów obyć się nie można; smutno wyglądałyby godowe stoły, gdyby je nie zdobiły zieloność i kwiaty.

Kwiaty uprzyjemniają i rozweselają nam życie, i nie masz tak obojętnego na piękno człowieka, którego by nie zachwycił wdzięk barw i kształtów nadobnych dzieci Flory.

Kwiaty też, jakby dzieląc naszą wesołość lub smutną dołę, stały się naszymi prawie nieodłącznemi towarzyszkami.

Kraje południowe, ciepłe, hojnie od natury uposażone, nie potrzebują zbytecznie zajmować się hodowaniem kwiatów; trochę starania aż nadto się wynagradza; ale my w naszym zimnym klimacie, wystawionym na różne zmiany atmosferyczne, umiejętnym tylko pielęgnowaniem przyswoić sobie możemy gatunki stref gorących; lecz za to dochodzimy do wielu ich odmian piękniejszych i pierwowzory.

Nauka hodowania kwiatów w ogóle, a w naszym klimacie w szczególe, jest trudną i wymaga dość długich studyów i obserwacji. Sztucznem hodowaniem i rozmnażaniem kwiatów w cieplarniach,

czy też szklarniach, zajmują się specyjalni ogrodnicy, a praca ich znaczne przynosi im zyski, szczególnie zagranicą w wielkich miastach.

Gdy zaś kwiaty znajdują się w każdym prawie mieszkaniu, hodowane po większej części przez kobiety, wielką więc oddają przysługę tym hodowcom ci uczeni specyaliści, którzy podają wskazówki, rady i przepisy, jak sobie postępować z różnego rodzaju kwiatami, mianowicie też przeniesionymi do nas z pod obcego nieba.

Pod tym względem literatura nasza, mało dostarczyła podręczników. W ostatnich dopiero czasach napisał dr. Karwacki drobnych rozmiarów książeczkę p. t. „O hodowaniu i pielęgnowaniu kwiatów i roślin pokojowych.“ Wiele tu znajdujemy praktycznych wskazówek dotyczących pielęgnowania kwiatów i roślin najpospoliej u nas w pokojach i salonach znajdujących się.

Daleko obszerniejsze i więcej szczegółowe jest dzieło p. E. Jankowskiego, opatrzone licznymi wśród tekstu drzeworytami. Stosunkowo też jest droższe od książeczki d-ra Karwackiego.

Pan Jankowski, odbywszy studia uniwersyteckie, z zamiłowaniem poświęca się naukom przyrodzonym, a mianowicie ogrodnictwu. Jako redaktor „Ogrodnika Polskiego“ i inspektor Szkoły pomologicznej, wielce się przyczynia do rozpowszechnienia pożytecznych wiadomości z zakresu botaniki i do podniesienia tak zaniebanego u nas ogrodnictwa. Pan J. wydawszy już bardzo cenną książkę p. t. „Kwiaty naszych ogrodów,“ obdarza nas obecnie „Kwiatami naszych mieszkań.“ Praca to sumienna, stojąca na wysokości dzisiejszych pojęć naukowych. Autor teoretycznie i praktycznie obeznany z rzeczą podaje w tej książce najprzód ogólne wiadomości o hodowaniu kwiatów, a potem przystępuje do szczegółów.

Ztąd jego dzieło rozpada się na trzy części:

W *pierwszej*; wykazawszy autor, jakie rośliny i kwiaty właściwe są do salonów i pokojów, opisuje różne sposoby urządzenia kwaciarni, a więc przystawki do okien, szafy roślinne i oddzielne części pokoju wyłącznie na ustawienie kwiatów przeznaczone, a dalej jeszcze wazonny zawieszony w powietrzu, najczęściej w oknie, czyli ampułki kwiatowe, wreszcie tak zwane *terrariumy* i *akwaryumy*. Autor wykazuje jakie kwiaty, gdzie i jak się ustawiają, objaśniając przytem wieloliczne użycie do ozdoby roślin pnących, to jest powojów i bluszczów. Tu również znajdujemy rzecz o naczyniach i przyrządach potrzebnych do hodowania kwiatów, oraz o ziemi i nawozach.

Druga część podaje ogólne zasady pielęgnowania kwiatów, a więc mowa tu: o oświetleniu, ogrzewaniu, podlewaniu i skrapianiu, kwiatów, o obchodzeniu się z nimi w zimie i w lecie, o mierzwienu, przycinaniu, rozpinaniu, wreszcie o rozmnażaniu roślin naturalnem i sztucznem. Jest-to, według nas, najważniejsza część książki, którą dobrze przestudować należy, i, jeśli komu możność pozwala, poznać w praktyce, co w Warszawie nie jest tak rzeczą trudną.

Część *trzecia* dzieła pana J. zawiera szczegółowe opisy pospolicie w pokojach hodowanych roślin i kwiatów. Mówi autor o kształcie ich, *własnościach* i sposobie obchodzenia się z nimi.

Tu pozwalamy sobie zrobić małą uwagę. Wiadomo powszechnie, jak wielką odgrywają rolę w medycynie zioła i kwiaty; sam ich zapach, jaki rosnąc i rozwijając się wydzielają, ma również lecznicze znaczenie, dziś mianowicie gdy metoda inhalacyjna, czyli przez wdychanie, pomyślnie zaczyna wydawać re-

zultaty. Otóż dobrzeby autor uczynił, gdyby pod tym względem słówko gdziegdzie napomknął. W drugim wydaniu jest to możliwem. Każdy wie z doświadczenia, że jeden zapach jest mu przyjemny, drugiego znosić nie może, lecz o ile mu ten zapach szkodzi lub do zdrowia pomaga, wiedzieć nie może. Nauka, zdaje się porobiła tu już pewne odkrycia, niechżeby o nich, chociaż trochę dowiedział się ten, co hoduje sobie w mieszkaniu kwiaty, wtenczas przy ich wyborze kierowałby się względem nie tylko estetycznym, lecz i higienicznym.

Pan J. według przyjętego zwyczaju, podając opis główniejszych gatunków kwiatowych i ich odmian, trzyma się porządku alfabetycznego nazw łacińskich, i bardzo słusznie czyni, tym sposobem czytelnik łatwiej może znaleźć kwiat lub roślinę, o której potrzebuje się dowiedzieć jakich szczegółów. Nomenklatura polska nie jest jeszcze ustalona; każdy autor, każdy ogrodnik innej używa, ztąd powstaje zamieszanie któremu się zapobiega podając nazwy łacińskie, a obok nich polskie. Dobrze również autor uczynił, gdy na końcu książki w wykazie nazw polskich pokładł nazwy łacińskie. Tym sposobem jedno dopełnia drugie.

Liczne drzeworyty, któremi wypełniona jest książka pana J. podnoszą wielce jej wartość, gdyż *umacniają* niejako kształty, jeśli już nie barwy (coby zbyt wiele kosztowało) główniejszych roślin i kwiatów pokojowych. Zrobimy tylko uwagę co do ich pomieszczenia, iż takie, jakie jest w książce, wiele przedstawia dla czytelnika trudności; gdyż nazwy pod drzeworytami umieszczone nie odnoszą się do nich; chcąc znaleźć właściwe, trzeba ich szukać w tekście książki, w tył się cofając. Najwłaściwiejby było umieścić drzeworyt, pod nim położyć nazwę i opis właściwy. Pojmujemy, że względy druku i papieru przedstawiają wielkie trudności, niemniej wszakże tak jak jest, nie jest dogodnie dla czytelników.

Z przyjemnością rozszerzyliśmy się nad „Kwiatami naszych mieszkań“ w tem miłym przekonaniu, że praca ta szanownego autora wzbudzi nie w jednej z Czytelniczek większe zamiłowanie w hodowaniu kwiatów, a podniesie i uczyni je racjonalnem w tych, które się niem zajmują lecz na chybi, trafi, nie wiedząc, jak sobie w danym razie poradzić.

J. Pracki.

Zawiadomienie.

Otrzymałmśmy następującą odezwę.

„Mikołów, d. 19 kwietnia 1880.

Szlachetni bracia!

Ofiary wasze dla biednych Górno-Szlązaków spływały tak hojnie, że przewyższają rządowe wsparcia i zachowały tysiące braci od głodowej śmierci. Dziękując wam najserdeczniej za waszą wspaniałość i uratowanie Szlązka od nieobliczonych nieszczęść,—oświadczam, że głód już ustał, i uważam za obowiązek sumienia, razem z wyrazami najgłębszej wdzięczności ogłosić niniejszem, że ofiary zebrane dotąd przez was i znajdujące się jeszcze w redakcyach waszych, po przesłaniu nam ich wystarczą na bieżące potrzeby, i że dalsze ich zbieranie nie jest już konieczne.

Pełen wdzięczności

Karol Miarka,

prezes komitetu głodowego w Mikołowie, i redaktor: „Katolika,“ „Moniki“ i „Poradnika gospodarczego.“

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubranie ślubne. Przód i boki sukni atlasowej są lekko poprzecznie zmarszczone na podszewce ze sztywnego muslinu, a u dołu zakończone drobniołtkiem plisowaniem. Tren zaś niezmiernie długi, ściśle sfałdowany u góry, ozdobiony jest szerokim garnirunkiem z plisowania i bufek. Stanik z bawetem sznurowany z tyłu, oszyty u dołu dwa razy pliską i wążutką falbanką. Suta riusza z iluzji otacza wykrój szyi i rękawy. Wianek mirtowy i welon iluzjowy spadający aż na tren.

Ubranie wieczorowe. Suknia z jasnej materyi faille ma stanik bawetowy i tiunikę przybraną pasmanterią ze złotych perełek tudzież sznurami i agrafkami szmuklerskimi jedwabnem ze złotem. Spódnica jest w połowie długości naszyta falbankami zachodzącymi na siebie. Głowę zdobi wianek różany złączony kokardą.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pa. M. K. w Kielcach. Nadesłane wierszki pomieszczone zostaną w Tygodniku.

Pani Salomei W. w Pierzchnowie. Przyjacieli dlatego tak chętnie słuchany jest przez dzieci, że przemawia do nich zawsze łagodnie i z wyrozumieniem dla ich nieświadomości.—Błądzą one nie przez złość, ale przez brak jasnego pojęcia prawdy, czyż więc można łajać je i tracić nadzieję poprawy?

Pa. Antoniemu A. Wspomnienie wakacji jest właściwie opisem fabryki, żeby jednak ten dla czytelników Przyjaciela Dzieci był odpowiedni, potrzebuje koniecznie wyjaśnienia naukowego każdej czynności z żelazem.—Wierszyk wkrótce pomieszczony zostanie; jest on pełen prostoty, malowniczy i z serdecznem uczuciem napisany.

Pa. Wiktorji C. Wierszyk z uczuciem napisany, ale zbyt egzotyczny.—Niektóre zwroty i porównania cokolwiek zużyte, szkodzą całości i osłabiają jej wartość.

Pa. K. O. w Owruczu. Nadesłany rubel na Szlązaków dołączony został do ogólnych składek za pokwitowaniem.

Pani hr. Katarzynie T. w Petrolinie. Prenumeratę wpisano, pół rubla oddano biednym matkom.

Przyjaciela Dzieci Nr. 19 wyszedł z druku i zawiera:

Do Czytelników. — Wiosna (wiersz). — Z Paryża do Pekinu. — Obrazki z Przeszłości. — Opowiadania Historyczne. Dod. dla dzieci: Pan Maciej (z drzewor.). — Milczenie (wiersz). — Braciszki. — Dzień dobry lalczko (wiersz). — Czarnoksiężnik u Aszantów (z drzewor.). — Wróblek. W Dodatku powieściowym: Zatrącony.

Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: Do J. K. Gregorowicza. Ulica Chmielna Nr. 1530 (nowy 20).

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mów dołącza się dodatek z drzeworytami rycina kolorowa.

Pieniądz to szczęście, pieniądz to potęga.

przez panią THURET,

przez J. B.

(Ciąg dalszy).

Otworzyli prędko okienice, sinawe blaski burzy dozwoliły im dojrzeć że wszystko w tym pokoju było w największym nieładzie i jakby przygotowane do odjazdu. Nie znaleźli nawet świecy i nie mieli co zapalić. Zaczęli nasłuchiwać—ale wyjąwszy odgłosu grzmotów zupełna panowała cisza.

— Szczególniejsza rzecz, rzekł Jerzy, bo przecież najwyraźniej słyszeliśmy krzyk... Cóż teraz zrobimy?

— Trzeba...

Markiz zamilkł posłyszawszy szept jakiś.

— Chodź, Jerzy, rzekł, i kierując się za dochodzącym szmerem, weszli do buduaru.

Tam już wyraźnie słyszeli mowę czyjąś, ale nie mogli zrozumieć co mówi. Był to głos mężki; mówiący unosił się... groził...

W tem, jakby w odpowiedzi dał się słyszeć jęk bolesny, potem jakby prośba i znowu krzyk.

— Zamordują tę nieszczęśliwą kobietę; zawołał z przerażeniem Jerzy, a tu ani wiedzieć jak dostać się do niej.

— Szukaj dobrze, jestem pewny że są tu gdzieś drzwi, gdyż widziałem wychodzącą niemi hrabinę. Przyjmowała mnie w tym właśnie buduarze.

Jerzy niespokojnie przesunął ręką po perskiem obiciu pokrywającym ściany, chcąc koniecznie wspomniane drzwi znaleźć.

Zewnątrz szalała teraz gwałtowna burza; straszny huk piorunu tak zatrząsnął pawilonem iż zdawało się że go przewróci. W tejże chwili Jerzy namacał klamkę; przycisnął ją i otworzył, odgłos grzmotu zagłuszył lekki skrzyp.

Markiz i hrabia stanęli jakby przykuci do progu, osłupiali widokiem jaki przedstawił się ich oczom.

Był to sypialny pokój hrabiny Fabiani.

Dwóch mężczyzn otulonych w szerokie płaszcze z kapturami zapuszczonemi na twarz; stało przy łóżku, jeden w głowach, drugi w nogach, a hrabina umierająca prawie z przerażenia, siedziała na niem wsparta o poduszki. W zaciśniętych palcach trzymała arkusz papieru... upuszczone pióro leżało na prześcieradle.

Na stoliku przy łóżku leżał sztylet, stał kałamarz i kandelabr; palące się w nim świece oświecały wnętrze łóżka; w całym pokoju było dość ciemno.

Mężczyzna stojący w nogach łóżka, powiedział coś do pani Fabiani, pochylił się i nagłym ruchem wydarł jej papier który pragnęła zatrzymać. Wtedy Jerzy szybko postąpił ku łóżku, podłoga zakrzypiała. Widać usłyszeli to obaj napastnicy, bo nie odwracając się przewrócili kandelabr, poskoczyli do okna i uciekli niemi do parku.

Hrabia d'Elcairet instynktownie wyciągnął rękę ku leżącemu na stole sztyletowi, którego niezwykle kształt zwrócił jego uwagę, lecz w tejże chwili ktoś

pochwycił go za rękę i wydarł mu sztylet. Zaczęli się pasować w ciemności, Jerzy chciał koniecznie zatrzymać napastnika, ale ten zdołał się wydrzeć i tygrysim skokiem rzuciwszy się do okna, powtórnie niemi wyskoczył.

Szamotanie się ich z sobą oprzytomniło hrabinę.

— Przez litość, wyszeptęła słabym głosem, nie gońcie za nimi...! na miłość boską, nie róbcie tego... Ale gdzie moja córka... moja Laura... Lauro! zawołała i drżąca, miotana niewysłowionym niepokojem, uniosła głowę od poduszek.

Markiz zapalił zgaszone świece, i wtedy tak on jak Jerzy dojrżeli w kącie pokoju młodą dziewczynę skrepowaną i przywiązaną do fotela.

Nie dawała znaku życia; orzeźwiła się jednak powoli gdy jej odwiązano usta. Uczuwszy się wolną, zaraz pobiegła do łóżka.

— Lauro, córko moja ukochana! zawołała hrabina przyciskając ją do serca, poczem powiodła do kąta przerażonym wzrokiem. Spozstrzegła i poznała markiza, podziękowała mu w gorących wyrazach i błagała aby jej nie opuszczał.

Markiz d'Elcairet uspokoił ją, opowiedział jak on i synowiec jego usłyszawszy krzyk wychodzący z pawilonu pośpieszyli jej zaraz na pomoc; jak z trudnością mogli zaledwie dostać się do niej, i jak ubolewają nad tem że przybyli za późno.

Pozamykano szczelnie drzwi i okna i gdy już wszystko się uspokoiło, markiz prosił hrabinę Fabiani, aby, jeżeli żądanie jego nie jest natrętnem, wytłomaczyła mu owe zajście, któremu obecność jego i synowca jego położyła koniec.

Usłyszawszy to pytanie, hrabina przeraziła się znów ogromnie; zaczęła drzeć jak listek, zęby jej dzwoniły, na twarzy odbił się wyraz strasznego niepokoju. Przerazająca bledność pokryła jej licę, obłąkane, bezmiernie otwarte oczy, zdradzały gwałtowny przestrah.

— O! to straszne!... straszne!... wołała rozpaczliwie, i to krewny!... dodała cicho jakby mówiąc do siebie;—to też trzeba... trzeba koniecznie... utaić to wszystko... wszystko...

— Panie markizie, dodała głośno, urywanym głosem, daj mi słowo honoru... przysięgnij mi na wszystko... przysięgnij na...

I wyciągnęła rękę ku leżącej na drugim stoliku księdze; Laura zrozumiała i przyniosła ją—były to Ewangelje.

— Przysięgnijcie mi, panowie, rzekła uroczyście głosem, przysięgnijcie mi, powtórzyła błagalnie, że nigdy nie objawicie tego coście dzisiaj nocy widzieli i słyszeli w tym pokoju.

Przychylając się do prośby hrabiny, markiz i hrabia położyli ręce na księdze i wykonali żadaną przysięgę.

— Dziękuję, dziękuję serdecznie, rzekła z wdzięcznością jakby straszny ciężar spadł jej z serca, i uściskawszy ich ręce, dodała: Posłuchajcie: wszystko da się jeszcze naprawić. Jutro... za godzinę... nie, nie, natychmiast... szkatułka... chcę ją wam oddać... chcę powiedzieć jakiej przysługi żądam...

Sił jej brakło — zamilkła i bezsilna upadła na poduszki.

Młoda dziewczyna wzięła z pułeczki jakąś flaszeczkę z kroplami, i nalawszy na łyżeczkę podała

hrabinie, ta wypila i przyciągając do siebie Laurę ścisnęła ją konwulsyjnie, szepcząc zaledwie dostyśszanym głosem: Biedna, biedna ukochana córko moja... więcej zrozumieć nie było można. Potem ręce jej opadły, zamknęła oczy i zdawało się że zasnęła.

Panna Fabiani usiadła przy łóżku, ujęła rękę matki, okryła ją pocałunkami i zatrzymała w swych dłoniach.

Markiz i hrabia cofnęli się w głąb pokoju i w smutnych zatonęli myślach. Już sam widok tego obszernego posępnego pokoju, nader smutne robił wrażenie. Ogromne łóżko stało na wysokiej, kilko-stopniowej estradzie; nad niem unosił się wysoki baldachim, z grubemi karmazynowemi kotarami, odpowiadającemi obiciu rozpiętemu na ścianach.

Po obu stronach łóżka stały białe marmurowe posągi, jedna z tych figur trzymała glob kryształowy nieprzezroczysty, w którym płonąła nocna lampka, druga kadzielnicę.

Twarz hrabiny odbijająca od ciemnego tła łóżka była równie biała i zdawała się równie martwa jak twarze tych marmurowych posągów.

Widok ten dreszczem przejmował Jerzego; zdawało mu się że patrzy na umarłą hrabinę, wystawioną na paradnym katafalku. Nie chciał patrzeć a mimowolnie oczy jego ciągle zwracały się na nią, chciał koniecznie dopatrzeć się śladu życia. Było to coś jakby opętanie, upatrywał, śledził jakiegos poruszenia. Czasami zdawało się jego zmęczonym tem wpatrywaniem się oczom, że dostrzegł jakiś ruch, wkrótce jednak przekonywał się że twarz ani jednym drgnieniem nie zdradza życia.

Gwałtownym wysiłkiem woli oderwał wzrok od matki i przeniósł go na córkę. Ulegając znużeniu, panna Fabiani zasnęła, z twarzą wspartą na ręce matki. Profil jej twarzy był bardzo piękny, śliczna pełna uroczego wdzięku postać dziewczyny, mile nęciła oczy hrabiego, lecz samo żywe zajęcie się Laurą, na smutne naprowadzało go myśli.

Jakież będzie przebudzenie biednej dziewczyny? myślał sobie. Hrabina jest ciągle równie nieruchoma—jestże to sen tylko?... Dziwny zbieg okoliczności! opuszczam Paryż, to ognisko przygód i niepokojów, aby jechać do stryja, którego całe życie było zawsze, o ile wiem, spokojne, regularne, systematyczne, nie zakłócone żadną przygodą, — i oto u niego właśnie zaskoczyło mnie zdarzenie tak przerażające, jakiego pierwszy raz w życiu jestem świadkiem. I tak rozmyślając wpatrywał się w hrabinę, nie próbując już nawet odganiać czarnych myśli które wszystko tu podniecało.

A! to istny grób ten pokój, mówił sobie; czyż dzień nigdy nie zaświta?... i gorąco pragnął aby się raz już ta straszna noc skończyła.

Chwilami, ulegając doznanyemu wrażeniu i znużeniu, zamykał oczy, lecz otwierał je nagle mniemając że stał się igraszką przykrych snów. Osłupiałym wzrokiem rozglądał się po pokoju którego poznać nie mógł, a patrząc na te wielkie starożytne meble, poczerniałe upływem czasu, których kształty to się wydłużały, to zmniejszały skutkiem migotliwego światła i cienia padającego od nocnej lampki, przez co nader fantastyczne przybierały formy, utwierdzał się w mniemaniu że mu się to śni tylko. Lecz przewrócony fotel i połamane świece

w kandelabrze przywracały mu pamięć. Wtedy przypomniał sobie rzeczywistość; i znów dręczyły go smutne przecucia, gdyż hrabina leżała ciągle sztywna i nieruchoma.

I markiz d'Elcairet był głęboko zamyślony, ale myśli jego w innym płynęły kierunku; gonił ubiegłe wspomnienia i starał się przeniknąć tajemnicę którą przyrzekł nie wyjawiać nikomu. Był on we Florencji właśnie w czasie śmierci hrabiego, i pamiętał doskonale że został on zabity w pojedynku przez pewnego młodzieńca o którego zalotach do hrabiny wiele bardzo mówiono. Przypomniał sobie także iż w kilka miesięcy później, tenże młody człowiek został zamordowany w pewnej odludnej uliczce i mordercy nie zostali wykryci.

Dwa te wydarzenia były bardzo głośne w swoim czasie; czy słusznie oskarżano hrabinę—nie wiadomo, dość że opuściła Florencję, długi czas podróżowała, a nareszcie stale zamieszkała we Francji.

Po osiedleniu się w Paryżu, hrabina przyjmowała licznych gości, a choć minęła pierwszą młodość, była jeszcze bardzo przystojna i miła. Dom urządziła świetnie, stół był wykwintny, była nader gościnną i uprzejmą gospodynią, schodziło się więc do niej liczne i dobrane towarzystwo. Postępowanie hrabiny było najzupełniej nienaganne, przyjmowano ją więc chętnie i starano się być jej przedstawionym i bywać w jej salonach. Jedni zapomnieli jej tragicznej przeszłości, inni nigdy jej nie znali lub nie chcieli sobie przypominać. Do ostatnich należał markiz i wieszował sobie tej dyplomacji.

Od śmierci hrabiego upłynęło lat osiemnaście, zdawało się więc prawie niepodobnem aby dramat nocny mógł się do niej odnosić, — jednakże ci dwaj zakapturzeni mężczyźni wyraźnie zdradzali w sobie coś włoskiego, co naprowadziło markiza na myśl że może teraźniejszość ma pewien związek z przeszłością. Obliczał w duchu jaki majątek może mieć hrabina, jakoteż w jakim wieku jest Laura; nie przypominał sobie aby słyszał kiedy podczas pobytu swego we Florencji że hrabina ma córkę; nareszcie opuściły się ociężałe jego powieki, pochylił głowę i zasnął.

Wtem nagle przebudził go okrzyk rozpacz. Panna Fabiani przebudziła się i straszne ogarnęło ją przerażenie gdy uczuła że ręka hrabiny, którą trzymała, była sztywna i zlodowaciała. Rzuciła się na matkę wołając i najczulsze nadając jej nazwy, chciała rozgrzać ją i ożywić swemi pieścizotami i pocałunkami. Następnie przerażona ciągnęła nieruchomością, nie mogąc przypuścić i uwierzyć w swoje nieszczęście, uciekała się do wszystkich z kolei środków, zastosowywanych zwykle podczas ataków jakim matka podlegała. Wszelkie starania były daremne; gdy więc znikła nadzieja podtrzymująca ją dotąd, boleść Laury tak była gwałtowna, iż zemdlała wydawszy pierwszej krzyk rozpaczliwy.

Markiz i synowiec jego zerwali się przerażeni; nie wiedząc co robić otworzyli okno i Jerzy przeniósł do niego Laurę.

Nastał dzień piękny i pogodny, jasne słońce wpaadało do pokoju, nie troszcząc się o boleści i smutki jakie oświecić miało. Promienie słoneczne padały w pełni na umarłą hrabinę, która wydawała się jakby przeistoczoną. Twarz cała wypogodziła się i zdawała się tchnąć pogodą i spokojem, co rażąco tworzyło sprzeczność z twarzą jej nieszczęśliwej córki. Choć panna Fabiani zupełnie straciła przytomność, jednak cała jej postać wielkie zdradzała cierpienie.

Gdy o tyle już przyszła do siebie że można ją było przenieść, markiz kazał wiaść ją do siebie, co niesłychanie zdziwiło synowca. Stary pomieścił ją jak najwygodniej, otoczył największymi względami i troskliwością.

Hrabina Fabiani już od wielu lat cierpiała na chorobę sercową; od pewnego czasu choroba ta tak się wzmogła, iż postanowiła skrócić swój pobyt w Versalu i przenieść się do Paryża, aby być blisko swego doktora i móż w każdym razie zawezwać jego pomocy.

Właśnie w przeddzień rano cała jej służba udała się do Paryża, aby urządzić wszystko na jej przyjęcie. Sama tylko panna służąca pozostała, lecz że hrabina dnia tego czuła się jakoś lepiej, pozwoiliła jej pójść na wesele córki ogrodnika, mające odbyć się w mieście. Ani hrabina ani Laura wcale nie były bojaźliwe, nie lękały się więc pozostać same, tym więcej że chłopiec ogrodowy miał tej nocy spać w kuchni, do której urządzony był dzwonek tuż przy łóżku hrabiny.

Gdy nareszcie panna Fabiani mogła zebrać myśli, opowiedziała markizowi co wiedzieć mogła.

— Około jedenastej, mówiła, matka moja położyła się do łóżka; była tego wieczora bardzo wesoła i rozmowna. Z jakie pół godziny siedziałam przy łóżku matki rozmawiając z nią, poczem poleciła mi udać się na spoczynek. Chciałam zamknąć okno, ale matka kazała mi go nie domykać, aby powietrze mogło wchodzić do pokoju, gdyż, jak mówiła, czuje duszność z powodu nadchodzącej burzy. Zazwyczaj nie mogła sypiać i często w nocy chodziła po swoim pokoju.

„Ja położyłam się i zaraz usnęłam, lecz około północy obudziłam się nagle, gdyż zdawało mi się że słyszę rozmawiających w pokoju matki. Przestraszona czy nie zachorowała, zarzuciłam szlafroczy i co prędzej pobiegłam do jej pokoju. Zobaczywszy mnie wchodzącą, matka zawołała: — Laura, zaklinam cię, uciekaj! — W tejże chwili dwóch zakapturzonych mężczyzn rzuciło się na mnie i aby zgłuszyć krzyk mój, chustką zawiązali mi usta. Broniałam się, zerwałam chustkę i zaczęłam krzyczeć przyzywając ratunku; wtedy zatkali mi usta, skrepowali mnie i przywiązali do fotela. Brak powietrza i niewysłowiony niepokój o matkę moją pozostała w mocy tych nędzników, pozbawiły mnie przytomności—i nic już nie wiem co się potem działo. Daremnie myślą sięgam w przeszłość, nie mogę sobie przypomnieć nic coby mogło mi wyjaśnić straszne to wydarzenie. Wprawdzie, przed kilku miesiącami, matka odebrała z Włoch kilkanaście listów, które widocznie przykre bardzo na niej robiły wrażenie; po przeczytaniu paliła je zaraz, i bardzo mnie dziwiło, że matka która zawsze ze wszystkiem mi się zwierzała, nie powiedziała mi ani słówka o tem co było w tych listach. Musiała jednak zapomnieć o tem, bo od pewnego czasu odzyskała zwykły spokój i pogodę umysłu.

„Napastnicy musieli zapewne wejść przymkniętem tylko oknem, dość im było przełożyć rękę, odłożyć antabę i podnieść roletę. Jak to być może iż matka ani krzyknęła ani nie pociągnęła za sznur od dzwonka—tego pojąć nie mogę.“

Słuchając tego opowiadania panny Fabiani, markiz utwierdził się w przekonaniu że dramat odegrany tej nocy pozostawał w związku z odegranym przed osmnastu laty we Florencji, i stanowił ostatni akt jego.

Rozmowę tę przerwało przybycie pana Zampieri plenipotentą hrabiny, po którego posłano do Paryża; umówiono się naprzód co mu powiedzieć aby

nie zdradzić tajemnicy którą zachować przyrzekli.

Markiz podjął się zawiadomić go o wszystkim.

Pan Zampieri uważnie wysłuchał opowiadania, uważał to bardzo naturalnem że przestraszona o matkę, panna Fabiani krzykiem przyzywała ratunku; uronił nawet parę łez i bardzo ubolewał nad tak okropnem zdarzeniem. Powiedział jednak że śmierć hrabiny dawno, niestety! była przewidywaną, ponieważ już od lat wielu cierpiała na aneurizm który w ostatnich czasach dosięgał najwyższego stopnia swego rozwoju.

Jerzy zaraz rano powrócił do pawilonu; chciał zdjąć ślady stóp pozostawione przez napastników, zanim pomięszają się z innymi jakie odbiją się od nóg różnych osób zajmujących się pogrzebem. Ślady te odbiły się bardzo wyraźnie na przesiąkniętych deszczem ulicach, i dozwalały rozemnać jak i któredy przeszli.

Ślady te uwydatniły wielką różnicę stóp. Znać było że jedne nogi były małe i wązkie, obówie zgrabne, z bardzo wysokimi obcasami, drugie zaś szerokie i płaskie, obówie ciężkie, obcasy szerokie i niskie.

Hrabia szedł za śladem tych stóp od okna sypialnego pokoju hrabiny Fabiani aż do parkanu otaczającego park, który przeskoczywszy, szedł jeszcze blisko kilometr drogą prowadzącą do Paryża. Tu ślady stóp ustały, a natomiast widoczna była kolej kół powozowych i odbicie kopyt końskich. Niewątpliwie powóz oczekiwał w tem miejscu.

„Rzecz pewna, pomyślał sobie hrabia, że nie są to zwyczajni rabusie, jeden przynajmniej musi należeć do wyższych sfer.

Następnie wszedł znowu do pokoju zmarłej hrabiny, i tam, przy łóżku, zobaczył ślady spalonego papieru. Wszystkie te poszlaki utwierdzały go w powziętem mniemaniu: że nie kradzież była celem napaści, a sprawcami jej nie prości złodzieje.

II.

Na drugi dzień po pogrzebie hrabiny Fabiani, markiz miał rozmowę o Laurze z p. Zampieri, prosił go zarazem aby upewnił pannę Fabiani iż uważać to sobie będzie za prawdziwy zaszczyt jeżeli zechce dom jego uważać za własny, i pozostanie w nim jak najdłużej.

Zadziwił się niewymownie gdy Zampieri oznajmił mu że należy wstrzymać się z otworzeniem testamentu aż do przybycia synowca hrabiny, księcia Julio Fabiani, gdyż najmocniej był przekonany że Laura była jedyną spadkobierczynią całego majątku.

Gdy nareszcie oznaczono dzień w którym miano odczytać u notaryusza ostatnią wolę zmarłej, panna Fabiani tak jeszcze była osłabiona i znękana, iż oznajmiła panu Zampieri że nie jest w stanie być obecną przy otwarciu testamentu. Obawiała się że będzie nalegał na nią o to, lecz przeciwnie zgodził się od razu i zdawało się nawet że to jej postanowienie uwalniało go od pewnego niepokoju. Laura wdzięczna mu była za to, sądząc że obawia się dla niej następstw tak przykrego wrażenia. Później dopiero zrozumiała co było powodem jego postępowania.

Wieczorem dnia tego w którym miało miejsce otwarcie testamentu, markiz d'Elcairet odebrał list od księcia Julio Fabiani, w którym tenże prosi o wyznaczenie mu o której godzinie raczy go przy-

jąc, gdyż pragnie udzielić mu ważnej wiadomości odnoszącej się do panny Fabiani.

— Pozwól, kochany Jerzy, rzekł markiz do synowca, że uchylę się od tych zaszczytnych odwiedzin, odpiszę księciu że ty mnie zastąpisz i poproszę żeby oznaczył dzień i godzinę o której zechce czekać na ciebie. Tak będzie daleko lepiej. Panna Fabiani jest bardzo ładna, dobrze urodzona i bogata, byłaby to więc bardzo dobra dla ciebie partya; myślę o tem na seryo gdyż inaczej pewnie nie troszczyłbym się o tę dziewczynę. Nie obawiaj się więc okazać za nadto uprzejmym, gdyż o ile mi się zdaje panna Fabiani przyjmie to bardzo dobrze, korzystaj ze zdarzonej sposobności, pilnuj jej interesów, gdyż może niedługo staną się twojemi.

Książę odpowiedział natychmiast że jutro, o pierwszej, oczekiwać będzie hrabiego d'Elcairet.

Jerzy przybył o oznaczonej godzinie.

Po zwykłych grzecznościach powitania i oznajmieniu nieskończonej wdzięczności za pomoc jaką hrabia i stryj jego raczyli udzielić zmarłej stryjenki, książę prosił Jerzego aby zechciał przeczytać testament hrabiny Fabiani. Zadziwiło go to niewymownie, ale uczynił zadość życzeniu księcia.

Im dalej czytał, tem widoczniej mieniła się twarz jego; wtem podniosłszy oczy spostrzegł że książę nie spuszcza z niego wzroku i widocznie cieszy go przykre wrażenie jakie na nim sprawia poznanie testamentu; — zapanował więc nad sobą i skończył czytać już zupełnie na pozór obojętnie.

Książę Julio Fabiani miał lat trzydzieści pięć, jego blada twarz, regularne rysy, piękne wązkie wąsiki, kolor włosów i wyraz oczu, przypominały portrety Cezara Borgia.

— Tak więc, rzekł zupełnie spokojnie hrabia d'Elcairet skończywszy czytać, więc nawet najbliższej o niej wzmianki nie ma w testamencie... czyż nie jest córką hrabiny Fabiani?

— Nie; oto jej metryka.

I z najobojętniejszą miną książę podał hrabiemu złożony papier. Jerzy przeczytał — na pozór zupełnie spokojnie.

— Ale jakże to być może aby ojciec panny Laury, pan d'Astri, tak zupełnie ją opuścił? zapytał Jerzy oddając metrykę.

— Umarł niedługo po urodzeniu córki, lat temu blisko ośmnaście. Został zamordowany, dodał z lodowatą obojętnością.

— Z jakiegoż tytułu hrabina opiekowała się jego córką?

— Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie, odrzekł książę, ale wyraz jego twarzy zaprzeczał słowom.

— Dla czegoż hrabina przedstawiała zawsze pannę Laurę jako swoją córkę?

Julio nic nie odpowiedział, tylko na usta jego wystąpił szydersko-złośliwy uśmiech.

Hrabia zrozumiał, ale nie chciał dać tego poznać.

— Skoro książę z własnej woli wtajemniczasz mnie w swoje sprawy familijne, łatwo pojmujesz że pytania moje nie mają innego celu, jak tylko chęć zdania sobie sprawy z okoliczności które wydają mi się niewytłomaczone. Przez lat ośmnaście hrabina przedstawiała wszystkim i wychowywała pannę Laurę jako swoją córkę, i widząc jak jest niebezpiecznie chorą, nie pomyślała o tem co się stanie z jej wychowanką po jej śmierci... To rzecz szczególna, to więcej jak nieprzezorność. Tak więc panna d'Astris pozostaje sama na świecie, bez opieki...

— Sama i bez opieki.

— Bez rodziny i poparcia?

— Bez rodziny i poparcia, powtórzył książę jako odpowiedź.

— Bez majątku?

— Bez majątku.

— I pan, jedyny spadkobierca...

— Ja, panie hrabio, przerwał książę, ja jedyny spadkobierca — mówił to wyniośle głosem oschłym i zimnym — spełniając wolę stryjenki mojej, hrabiny Fabiani, która uczyniła mnie swoim legateryuszem i tak macierzyńską miłością kochała pannę d'Astri, włożyłem do tej koperty akt zapewniający jej 6,000 franków renty, którą oddawna już hrabina Fabiani zapewniła pannie d'Astri.

— Wszak przed chwilą powiedziałeś pan że panna d'Astri nie ma żadnego majątku?

— Czyż 6,000 franków renty mogą stanowić majątek dla osoby która nawykła od dzieciństwa i spodziewała się że zawsze będzie mogła wydawać 100,000 fr. rocznie? Zechciej hrabia oddać ten akt pannie d'Astri.

— Ależ dajesz mi książę nader przykre polecenie, i doprawdy...

— Pan hrabia i stryj jego markiz d'Elcairet, raczyliście okazać pannie d'Astri tyle zajęcia i współczucia, iż sądziłem że mniejszą daleko sprawi jej to przykreść jeżeli dowie się o zmianie swego położenia od którego z panów, niż odemnie lub od pana Zampieri.

— Poproszę stryja mego aby raczył podjąć się smutnego tego zadania, a będzie to daleko stosowniej niż gdybym ja tego dopełnił, odrzekł Jerzy grzecznie ale oschle.

— Racz także, panie hrabio, oznajmić pannie d'Astri, iż uważać sobie będę za zaszczyt jeżeli pozwoli mi się odwiedzić; osoba którą stryjenka moja tak bardzo kochała, nie może mi być obojętną.

Włoch tryumfował. Jerzy czuł że książę technie jakąś nieubłaganą zemstą, że miodowe jego słówka i uprzejme oświadczenia są hipokryzją i szyderstwem, nie mógł jednak powiedzieć mu tego ani odgadnąć co go do tego popychało. Wziął kopertę i nic nie odpowiadając wstał i skłonił się lekko na pożegnanie.

Wychodząc spojrzął na ścianę około której przechodził, i pomiędzy rozwieszoną na niej bronią, postrzegł sztylet szczególniejszego kształtu.

— A! to on był!... pomyślał.

Książę pochwyił to spojrzenie, widział nagle zmianę twarzy hrabiego, ale tenże postrzegłszy iż Włoch bacznie się w niego wpatruje, zapanował nad sobą. Spojrzeli sobie wzajemnie w oczy. Wzrok księcia tchnął nienawiścią, wzrok hrabiego pogardą.

Trwało to mniej może niż sekunde; Julio pomiarował się i podwoił grzeczność i uprzejmość. Odprowadził hrabiego aż do przedpokoju i pożegnał jak najgrzeczniej, hrabia ukłonił się wyniośle, prawie wyzywająco.

Zostawszy sam, Julio wybuchnął dziką radością.

— A! zawołał, nareszcie zemściłem się podwójnie... Ha! widać zakochał się w niej i chciał poślubić — niechże się teraz żeni!... Podszedł do okna i odsuwając nieco roletę, patrzył na hrabiego d'Elcairet wsiadającego do powozu. — Ha! strzeż się, panie hrabio, wyszeptał; gdy ktoś poważy się obrazić któregoś z Fabianich, jeżeli ten sam się nie pomści, inny Fabiani tego dopełni... Wicehrabia d'Astri zatrulił spokój domowy, okrył hańbą i zabił w pojedynku mego stryja, — ojciec mój kazał go zabić.

Ja przyspieszyłem śmierć niewiernej żony, a nie dość na tem zagarniam majątek który przeznaczyła swej córce... A teraz córka ta z mojej tylko jałmużny żyć będzie, bo mogłem nie dać jej i tych marnych kilku tysięcy renty... A! piękna panno Lauro, nie daję ci tyle abyś mogła żyć tak jak ty żyć nawykłaś, ale daję tyle że nie umrzesz z głodu... A hrabia który zamierzał już... I rozśmiał się szatańskim śmiechem.

„To on był, jestem najpewniejszy, myślał sobie Jerzy, wracając do Versalu; podtył nikczemny złodziej, morderca!... Nie, nie pozwolę mu używać spokojnie owoców swej zbrodni — potrafię go ukarać!...“

I zaczął namyślać się jak ma postąpić. Zaskarżyć testament — ale jakże dowieść że wymuszony był groźbą śmierci?... a jeżeli nie da się tego udowodnić, narobi się tylko daremnie skandalu i rozgłosi urodzenie panny d'Astri... A potem wszakże przysięgł hrabinie dochować tajemnicy... Wtedy przypomniał sobie ostatnie prawie jej słowa, i myślał że musiały się odnosić do innego testamentu — ale gdzież go szukać?...

— Biedna Laura! rzekł sobie, sama jedna na świecie, nie ma nikogo coby ją pomścił i stanął w jej obronie! I oczy jego zabłyśły; nozdrza się rozszerzyły, wyraz twarzy zdradzał niezłomne postanowienie. Gdy przybył do Versalu odzyskał już zwykłą zimną krew — wiedział co ma czynić.

III.

Hrabia d'Elcairet miał lat trzydzieści, wielkie siwo-niebieskie oczy których spojrzenie było dumne, rozumne, niekiedy rozmarzone; bujne ciemne włosy, nos wązki i prosty z dobrze zarysowanymi nozdrzami, oznaczającymi silną wolę — usta pełne wyrazu, zęby bardzo białe, cerę śniadawo-bladą, co połączone tworzyło niezwykłą, odznaczającą się fizjonomię. Zazwyczaj głowę trzymał podniesioną w górę, ale dumną tę postawę łagodziła wielka uprzejmość i słodycz obejścia, która jednak była raczej wynikiem wychowania i doskonałej znajomości świata niż wrodzonej dobroci.

Był bardzo dowcipny, ujmujący i posiadał rzadki dar przekonywania; miał wymowę piękną; wyrażał się doborowo i wykwintnie, oryginalnym właściwym sobie sposobem, nie sprzeczał się i nie narzucał swego zdania ale objawiał je stanowczo; sąd jego o rzeczach był trafny i głęboki, rzut oka pewny, pojmuwał wszystko żywo i bystro, decydował się szybko i stanowczo. Co więcej był jednym z tych ludzi, tak rzadkich dziś, niestety! co chcą zadać sobie nieco trudu być miłymi i pożądanymi w towarzystwie; umięją w salonie poprowadzić i zająć swoją rozmową, tak że gdy mowa o jakimś zebraniu, panie zostające w bliższych stosunkach z gospodynią domu, zapytują wprost: a czy on będzie?

Ale pod powłoką łatwego w pożyciu i ujmującego światowca, zajętego głównie zabawą i przyjemnościami życia, ukrywał się człowiek nader pozytywny, nadzwyczaj wyrachowany, zimny samolub, dumny i ambitny, gotów wszystko poświęcić dla pychy i dumy. Był pysznym ze swego nazwiska, tytułu i stanowiska jakie zajmował w świecie, nad wszystko cenił bogactwo, a obok tego umiłował zbytek i przepych i żywił w duszy gorącą żądę wielkości i znaczenia. Zostawiony sam sobie, rządził się tylko regułami a nie głęboko zaszczepionymi zasadami był nadzwyczaj pobłażliwym dla siebie, nie odróżniał wyraźnie złego od dobrego i nie wybierał

zbytecznie dróg jakie mogły doprowadzić go do zamierzonego celu.

Złe jego skłonności, spotęgowane zgubną moralnością stryja, i podniecone ciągłymi prywacjami, zagłuszyły dobre; — złe wychowanie spaczyło cały charakter. Od chwili jak zaczął zastanawiać się i rozumować, żądza bogactw i wyniesienia się stały się jedynym celem, jedynym motorem jego postępowania; nigdy nie pozwalał sobie słuchać głosu serca, i dla tego zestarzał się przedwcześnie, i choć młody latami i powierzchownością, w rzeczywistości nie był nim i nie znał wcale uniesień młodości.

Gdy doszedł do pełnoletności, stryj który dotąd wodził go prawie na pasku jak dzieciaka, oddał mu cały jego majątek po rodzicach, wynoszący 200,000 franków, i uczynił go od razu panem swego mienia i postępowania.

— Jesteś pełnoletnim i panem siebie, rzekł markiz zdawszy mu rachunki z opieki, możesz więc teraz robić co ci się podoba, — nigdy nie będę ci narzucać rad moich. — Wiem że młodość musi wyszumić, bawić się i używać życia, ale nie zapominaj, panie synowcze, że jesteś prawie ubogim... Wszyscy wiedzą że jesteś moim spadkobiercą, nosisz znakomite nazwisko, możesz więc ożenić się świetnie — i szczerze ci tego życzę. Nie będę ci prawil moralów, bo się to na nic nie zdało, powie m tylko parę słów których nie zapominaj nigdy: nie rób długów. Pamiętaj o tem iż jeźliby kiedykolwiek przyszła ci chęć podobna, a wierzyciele twoi poważyli się zwrócić do mnie, nietylko byłoby to najzupełniej daremnem, ale nadto przypomniałbym sobie zaraz o naszym kuzynie, młodym de Sombrevalle — o którym nigdy nie myślę. Jest on uosobieniem ładu i oszczędności, i nie można zaprzeczyć że także piękne nosi nazwisko. Jeden z jego przodków poległ pod Bazincourt.. Ale może to zbyt przestrogi, znam cię dobrze, Jerzy, wiem że jesteś chłopiec rozsądny i nie pozwolisz sercu przewodzić nad rozumem. Nie jesteś ani zbyt naiwnie ufający, ani sentymentalny, ani łatwowierny, ani nieśmiały i niedowierzający sobie, ani też skłonny dla innych zapomnieć o sobie... Znasz dobrze wartość znakomitego urodzenia, wiesz jak wiele bogactwo waży na szali świata, łączysz w sobie wszelkie warunki zapewniające powodzenie i pewny jestem że twoje będzie świetne — a ja dumny z niego będę — bo przecież jesteś moim wychowancem. A nie myśl, panie synowcze, żeby to łatwe było zadanie...

To powiedziawszy, markiz d'Elcairet zatarł ręce, zaśmiał się swoim szatańskim śmiechem, a jego małe złośliwe oczy zabłyszczały radością.

Młody hrabia zrozumiał doskonale, że ta niby dobrodusznosc i fałszywa wesołość, pokrywa niezłomne postanowienie; zresztą znał doskonale stryja aby mógł powątpiewać o tem, mimo to idąc za popędem swego stanowczego charakteru i śmiałego usposobienia, postanowił działać na ryzyko.

Urządził się skromnie i elegancko — ale to niby skromne według niego urządzenie; było w rzeczywistości nader kosztownym zbytkiem.

Kupił parę koni; ale wierzchowiec był tak rasyowy że gdy wyjechał na nim zwracał oczy wszystkich znawców, a drugi, powozowy, kary, w czarnej uprzęży, zaprzęgany do lekkiego ciemnego powozu, na którego drzwiczkach błyszczał herb i korona hrabiowska było to więc niby skromne, ale tak wykintne i pańskie, że cały piękny świat mówił o wierzchowcu, powozie i młodym ich właścicielu. Tak więc, choć niby nie starał się o to, został od razu zaliczony do najpierwszych elegantów i sportsmenów.

Tego też tylko pragnął — i była to najgłówniejsza, najniebezpieczniejsza epoka jego życia, gdyż od niej cała przyszłość zależeć miała. Musiał zwyciężyć lub zginąć; to jest usunąć się zupełnie od tego świata z którym łączyło go urodzenie i stosunki, lub zająć w nim miejsce odpowiednie swej ambicji i żądzy wyniesienia.

Z początku obawiał się trochę, ale przyjęcie jakie znalazł w wyższym towarzystwie, wróciło mu ufność w siebie i swoją gwiazdę.

Hrabia Jerzy nie był już teraz niezgrabnym i sztywnym studentem, z zawstydzoną miną składającym powinszowania w dniu imienin lub nowego roku, ani też nieśmiałym i zakłopotanym młodzieńszkiem, źle ubranym, czerwieniącym się gdy do niego przemówiono, nie umiejącym wejść a tem więcej wyjść z salonu — ale pięknym i szykownym młodzieńcem, odznaczającym się elegancją obejścia i ubraniem, nie narzucającym się ale pewnym siebie, umiejącym mówić i to mówić dobrze i odpowiadać trafnie i dowcipnie. Teraz wszystkie młode kuzynki zwracały sobie nim głowy, a rodzice ich i starsi krewni nie mogli go się odchwalić przed markizem, który wówczas mieszkał jeszcze w Paryżu.

Pieszczony i psuty, przez rodzinę spokrewnioną z najwyższą arystokracją, Jerzy ujrzał że marzenia jego spełniają się jakby za dotknięciem czarnoksiężkiej laseczki: powodzenie towarzyszyło mu na każdym kroku; salony do których przystęp był nadzwyczaj trudny, dla niego na rozcież otwierały swe podwoje.

Dla kobiet był nadzwyczaj grzeczny, uprzejmy, nadskakujący; zachwycał młode dowcipem i powabem swej osoby i obejścia, a podstarzałe i stare tak umiejętnym wychodzeniem, iż mogły być przekonane że w ich towarzystwie nader wielką znajduje przyjemność. Z ludźmi poważnymi był poważnym i umiał słuchać gdy mówili, z młodymi był młodym i serdecznym, a tak prędko pozyskał ogólną życzliwość i uznanie. Kobiety szalały za nim, nie było zabawy gdzie jego nie było; mężczyźni, choć mu zazdrościli, chwalili go jednak, a młodzież uwielbiała go i naśladowała. Słowem stał się modnym, mówiono o nim i wspomniano często.

Jednakże świetny ten medal miał swoją odwrotną stronę, gdyż Jerzy był zanadto rozważnym aby nie wiedzieć do czego dojść może. Chcąc się świetnie przedstawić, wydał pięćdziesiąt tysięcy franków; utrzymanie stajni drogo kosztowało, a potem pomimo największej oszczędności jaką rządził się w domu, nie mógł uniknąć tych niezliczonych wydatków nieuniknionych dla „modnego młodzieńca,“ łatwo więc mógł wyrachować że cały posiadany majątek nie na długo mu wystarczy. — A cóż pocznie wtedy?...

I stawały mu przed oczami smutne jego młodociane lata, i z przerażeniem przypominał sobie groźby stryja. Ponieważ był czynny, śmiały i przedsiębiorczy, ubolewał że stanowisko jego towarzyskie nie dozwala mu pracą dorobić się majątku, i rozmyślał jakby to zrobić bez poniżenia się w oczach „swego towarzystwa.“ I w chwilach gdy nie wahał się mówić sobie prawdy, zadawał sobie pytanie: jak to być może aby się nie wstydzicie wydać, a wstydzicie uczciwie zapracować na te wydatki?... Łatwo przyszedł do wniosku że tylko bogatym ożenieniem może podźwignąć i ustalić swoje położenie, ale obawiał się że zbyt młodość jego może stać temu na przeszkodzie. — Czyż rodzice zechcą tak młodemu powierzyć przyszłość córki? gdyż co do niego nie wahałby się poświęcić swej wolno-

ści. Prowadził życie bardzo regularne, nie mógł więc nie mieć przeciw małżeństwu: przeciwnie, przez wrodzoną delikatność i szacunek własny, uczuwał wstręt do wszelkich triwialnych stosunków. Pół-światek nie nęcił go bynajmniej, i to właśnie wyżej go jeszcze stawiało i pożądańszym czyniło w odpowiednim mu towarzystwie.

Poważne jego obejście i oględność w mowie, budziły ufność kobiet; były pewne że choć w wychodzeniu z nim porzucał ceremonialność, będą swobodne i wesołe i choćby i trochę zalotne, nie weźmie im tego za złe, nie będzie się z tego chełpić ani też przekroczy właściwej granicy. Takie zachowanie pań tem więcej mogło mu pochlebiać, iż wiedział dobrze że nie jest ono wynikiem lekceważenia ale zaszczytnem odznaczeniem. Tak więc próżność jego była najzupełniej zadowolnioną — potrzebował tylko jeszcze zadowolnić swą ambicję i pychę. — I na to nie czekał długo.

Księżna de Miranda, stońce w obec którego bładły wszystkie najświetniejsze gwiazdy, nie wzbraiała mu starać się o jej względy i jawne składać sobie holdy — co ustaliło powodzenie i stanowisko hrabiego w wielkim świecie.

Księżna miała wtedy lat dwadzieścia ośm, była wysoka, kształtna, miała ruchy majestatyczne, a przedziwna jej piękność budziła podziw i uwielbienie. Wrażenie jakie wywierała nie miało w sobie nic materyalnego — było to poszanowanie jakie wywołuje widok niezrównanego arcydzieła.

Jej regularne i piękne rysy odznaczały się doskonałą czystością linii; wielkie, czarne, długimi rzęsami ocienione oczy, byłyby może za zbyt dumne, gdyby nie odbijał się w nich cudowny uśmiech ust. Wtedy spojrzenie jej zdawało się jakby aksamitnem i roztaczało na całą twarz urok anielskiej słodyczy, jakiego brakło jej w poważnym nastroju. Jej wielkie krucze, w niebieski odcień wpadające włosy, podnosiły jeszcze alabastrową białosć twarzy i cudnie utoczonych ramion. Cała jej królewska postawa nieprzepartym pociągała urokiem.

Izabella de Champreux także urodziła się ubogą, i pomimo pięknego nazwiska i piękniejszej jeszcze postaci zdawała się być skazaną na życie więcej niż w mierności, gdy w tem przybył do Paryża daleki krewny jej matki, książę de Miranda, jeden z najpierwszych i najbogatszych magnatów hiszpańskich. Za młodych lat był gorącym wielbicielem piękności margrabiny, zapragnął zobaczyć o ile czas poszanować ją umiał. Ujrawszy Izabellę, zdało mu się że patrzy na matkę jej gdy była w tym wieku, ale znalazł ją piękniejszą jeszcze. Książę z całą galanterią zaczął okazywać młodej dziewczynie jak wielkie wzbudziła w nim zajęcie i uwielbienie — i widocznie pochlebiało to bardzo pięknej Izabelli. To też gdy w kilka dni później książę de Miranda oświadczył się o jej rękę, z radością zgodziła się zostać jego żoną.

Nie zraziły pysznej i ambitnej dziewczyny ani wiek ani brzydota księcia; nie patrzyła ani na twarz jego ani na lata; w tym małym, nieco ułomnym, schorzałym człowieku, piękna Izabella widziała tylko bogacza i granda hiszpańskiego. Nadawał jej znaczenie, tytuł, bogactwo — cóż po tem mogło ją obchodzić?... A jeżeli nawet żal jakiś zaczął budzić się w jej sercu — zagłuszyła go pychą.

(d. c. n.)

Opis do N-ru 19.

(Dalszy ciąg.)

Dolny brzeg przyczepiony jest do sukni. Odrobienie stanika nadaje się szczególnie do sukien przerabianych, których krótki stanik można znacznie przedłużyć, podług Fig. 44. Części dopełniające przody są przystębnowane jedno na drugich, z tyłu zaś zachodzą na plecy podług Fig. 45. Rycina 8 przedstawia także kostjum z paletocikiem.

N. 9. Sukieneczka dla małego dziecka. Krój na arkuszu N. XVII, Fig. 90.

Kraje się podług formy załączonej na arkuszu z krojami pod N. XIV, tylko ze zmianami oznaczonymi linią kropkowaną na zmniejszonym formacie Fig. 90. Szerokość dodana przy plecach i bokach, dopełniająca obwód sukienki zakłada się w fałdy zachodzące pod spód, podług ryc. 9, przedstawiającej sukieneczkę ze szkockiego materiału, naszytą kilka razy wążutką aksamitką czarną.

N. 10 i 41. Płaszczki z pelerynką dla dziewczynki lat 3—5. Krój na arkuszu N. XVI, Fig. 85—89.

Przody i plecy stanika przedstawionego na ryc. 10 i 41 podajemy w małym formacie na Fig. 85, krając zaś można podług Fig. 80—81, dopełniając długość i szerokość podług miar wypisanych na linii kropkowanej na fig. 85. Rękawy, mankiety, kołnierz i pelerynka krają się podług Fig. 86—89. Części płaszczyka zakładają się odpowiednio i stębnują; brzegi wszędzie zdobi stębnówka; guziczki okrągłe.

N. 11. Ubranie wizytowe z jasnego materiału.

Do stroju przybranej sukni z białego kaszmiru, stanik frakowy i plisy po 6 cent. szerokie są z jasnego materiału w deseń turecki. Dolne przybranie spódnicy składa się z plisowania i falbany przemarszczonej w bufkę z nagłówkiem, po 11 c. szerokim. Tylna draperya upięta z bryta prostego 120 cent. szerokiego, z przodu zaś potrójne panier, na które potrzeba kawałków materiału po 78 cent. szeroki, sfaldowanych z boków do 48 cent. Koronka 6 cent. szeroka i piękne guziki dopełniają przybranie.

N. 12. Ubranie wizytowe z ciemnego materiału.

Odrobione z czarnego atlasu i grenadyny, przybrane frendzlą i pasmanterią którą można zastąpić haftowanymi szlakami i koronką wywodzoną złotem lub kolorami. Mając zniszczoną suknię jedwabną można ją świetnie odnowić dodając draperje grenadynowe, lub z dwóch znoszonych sukien przerobić jedną.

N. 16—22. Kapelusz wielki okrągły.

Przedstawiony z wierzchu i od spodu na ryc. 18 i 19 kapelusz jest z grubej angielskiej słomki, z dość wysoką główką i szerokim z boków odwinięciem z tyłu wygięciem rondkiem, objęciem czarnym aksamitem. Brzegiem przy aksamicie można dać szlaczek wskazany na ryc. 13 w N. 18 lub na ryc. 16—17 w N. 19. Przybranie zwierzechnie stanowi skos złotawo żółtego atlasu, przepięty złotymi agraftkami, tegoż koloru długie pióro i wielki kwiat maku nad czołem. Rycina 20—22 wskazuje kilka przepięć do kapeluszy.

N. 25—31. Wachlarze spacerowe i parasoliki en tout-cas.

N. 25. Wachlarz z piór ozdobiony malowaniem.

Przy gładkich skrzydełkach z fijołkowego drzewa dodane są pióra gęsie lub łabędzie z prawej strony wyklejone małymi czarnymi piórkami. Rzucik mille-fleurs malowany akwarellą wprost na piórach.

N. 26—27. Parasoliki en tout-cas z wachlarzem.

Parasoliki pokryte granatowym płótnem, ma w grubą łaskę bambusową wkręcony wachlarzyk, dający się rozkładać i zupełnie wyszrubować.

N. 28. Parasoliki en tout-cas.

Okryty granatowym płótnem ma podszewkę w połowie granatową a w połowie z perkalu tureckiego, podsuniętego pod preciki. Rączka i czubek łaski pokryte turecką materią; do trzymania sznur granatowy z kolorowymi kulkami.

N. 29. Parasoliki en tout-cas. Pokryty atlasem granatowym z szerokimi szlakami u góry i u dołu w paski ponsowe i niebieskie. Podszewka ponsowa atlasowa.

N. 30. Parasoliki pokryte perkałem ponsowym w turecki deseń, na blade niebieskiej jedwabnej podszewce. Rączka i czubek łaski pokryte materią turecką. Kwaski kolorowe na ponsowym sznurze.

N. 31. Parasoliki pokryte bastem jedwabnym koloru naturalnego, osztyt szeroka gipiurą. Łaska z wiśniowego drzewa przewiązana wstążką.

N. 33—34. Okrycie letnie (visite.) Krój na arkuszu N. III, Fig. 13—16 a.

Zmniejszony format Fig. 13a—16a ułatwia zestawienie części kroju; pierwszą część pleców krają się w jednym ciągu ze zwierzechnią częścią rękawów, łączy się od W do X z drugą częścią pleców Fig. 15, która zszywa się z przodami od * do Y. Zwracamy uwagę na małe zaszycie w pierwszej części pleców od U do punktu. Przody krają się w jednym ciągu z małą spodnią częścią rękawów, której brzeg od V do * jest tylko wązko zaobrąbiony. Szwy wszystkie trzeba od spodu podszyc materią. Okrycie ryc. 34 było z czarnego wełnianego repsu, ozdobione szeroką frendzlą sznelową, mieszaną z perełkami i suto garnirowane koronką i riuszą koronkową. Przybranie pleców stanowi 12 cent. szeroki skos, ścięty w ząb u dołu, z brzegów objęty wypustką i ogarniowany węższą koronką, wzdłuż środkiem naszyty szeroką pasmanterią. Na ryc. 33 osztyt stanowi frendzla i pasmanteria marabout. Kokardy z atlasowej wstążki 6 cent. szerokiej.

N. 35—36. Paletociki dla małego dziecka. Krój na arkuszu N. XIV, Fig. 74—79.

Rycina 36 przedstawia z przodu paletocik z jasno piaskowego materiału, przybrany piaskowym deseniovym aksamitem; na rys. 35 widzimy paletocik z ciemnego deseniovego materiału. Odrobienie nie wymaga opisu, dodamy tylko że fałdy założone przy plecach powinny być zaprasowane płasko.

N. 37—38. Paletot dla chłopca lat 10—14. Krój na arkuszu N. XII, Fig. 62—67 a.

Paletocik z jasnego letniego sukienka ma brzegi ozdobione stębnówką; guziki rogowe. Części kroju dopełnione na długość i szerokość podług miar wypisanych na formie Fig. 62—63, łączą się szwem stębnowanym, na wierzchu tworzącym jakby wypustkę, podług odpowiednich liter. Wykład na rękawach dany ze skośnego kawałka, oznaczony jest cienką linią na Fig. 64. Wzdłuż brzegów przednich poddana listewka z materiału u góry 12 centym. szeroka, u dołu zwężona do połowy, widoczna na ranwersach wyłożonych wraz z kołnierzem, z podwójnie wziętego materiału, wszystkim w wykroj szyi od Y—Z. Przecięcia na kieszenie podszyciwają się skosem i dopełniają patkami Fig. 66—67, przyszytymi, odwróconymi i znów przystębnowanymi. Plecy spięte patką 5 cent. szeroka wpuszczoną w szwy boczne.

N. 39. Opis przy ryc. 1 w N-rze 18.

N. 40. Sukieneczka z vêtement, dla małej dziewczynki.

Beż brązowy i materiał w paski jedwabne użyty jest na sukienkę ryc. 40; spódniczka ma u dołu przybranie 30 cent. szerokie złożone na przemian z fałd z gładkiego materiału i z plis w paski naszytych wzdłuż. Vêtement dające się z łatwością dopasować podług którejkolwiek formy princesse podanej w Tygodniku, podpięte u dołu a panier i przyciśnięte paskiem.

N. 42. Sukienka z bluzkowym stanikiem, dla dziewczynki lat 6—8. Krój na ark. N. IV, Fig. 17—19.

Bluzka do sukienki ryc. 42 różni się tem od podawanych poprzednio, że ma karczek okrągły bez szwu na ramionach objęty w około wypustką ze sznureczkiem. Pod karczek trzeba mocnej podszewki, bluzkę zaś można odzić na grubym muslinie, dodając tylko w około pachy



N. 1 — 2. Ubrania spacerowe.

N. 1. Suknia z frakowym stanikiem.

N. 2. Suknia z paletocikowym stanikiem.

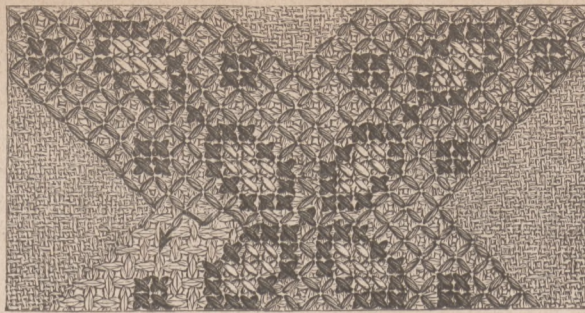
N. 32. Kokarda z koronką wywodzoną kolorowo.

Odrobiona z atlasu kolorowego, wziętego skośnie, i ozdobiona koronką wywodzoną kolorowo na białym tiulu.

mocniejszą podszewkę. Przemarszczenie dane trzy lub cztery razy w pasie, podszywa się również listewką. Pasek 4 cent. szeroki i kołnierzyk wykładany, odznaczony linią gładką na Fig. 19 są z tego co przybranie materiału. Model był z dyagonału granatowego, zdobny takimż aksamitem.



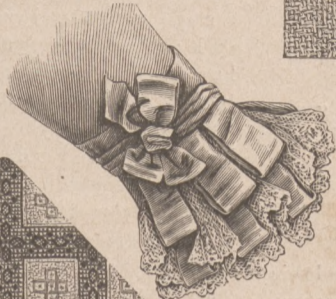
N. 3. Girlanda z astrów do kapelusza.



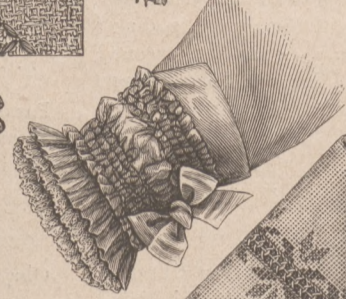
N. 8. Część wysycia do ryc. 7.



N. 4. Girlanda lewkoni i liści d. kapelusza.

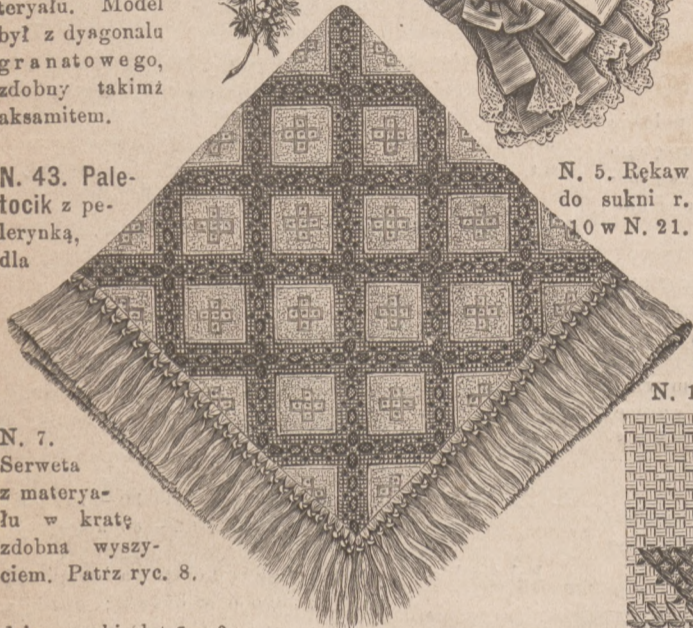


N. 5. Rękaw do sukni r. 10 w N. 21.

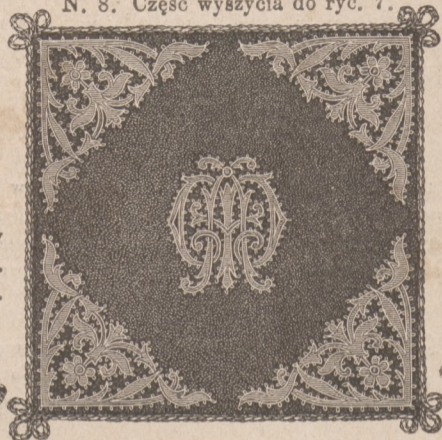


N. 5. Rękaw do sukni r. 20 w N. 21.

N. 43. Paletocik z pelerynką, dla



N. 7. Serweta z materiału w kratę zdobna wysyciem. Patrz ryc. 8.



N. 11. Czaprak z wysyciem weneckim ryc. 12—14.



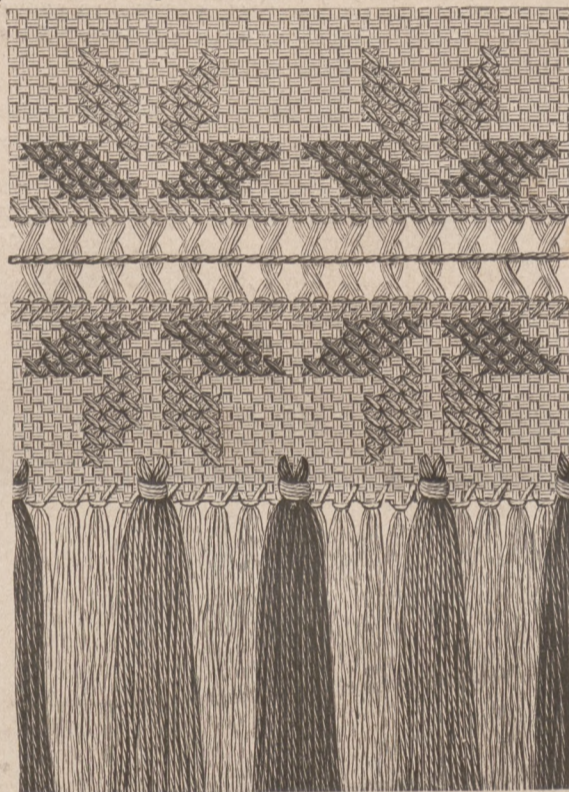
N. 9. Serweta z gładkiego materiału z krzyżkowym wysyciem ryc. 10.

dziewczynki lat 7—9. Krój na arkuszu N. XV, Fig. 80—84-a.

Pelerynka wykończona jest oddzielnie, paletocik więc puszczone z przodu a lekko wcięty z tyłu, może być noszony bez niej. Za materiał służy cienki korcik; wszystkie części kroju (Fig. 80—84) łączą się z sobą zwykłym szwem podszytym od lewej strony; brzegi przednie poddane listewką 4 cent. szeroką. Kieszonki liczą po 11 cent. szerokości a po 8 długości; wyłożenie zdobną przednie brzegi pelerynki, odznaczona jest linią kropkowaną na Fig. 84a; można je dać z odmiennego materiału i odznaczyć wypustką.



N. 15. Sukienka dla pańki lat 8—10. Patrz ryc. 19 w N-rze 21.



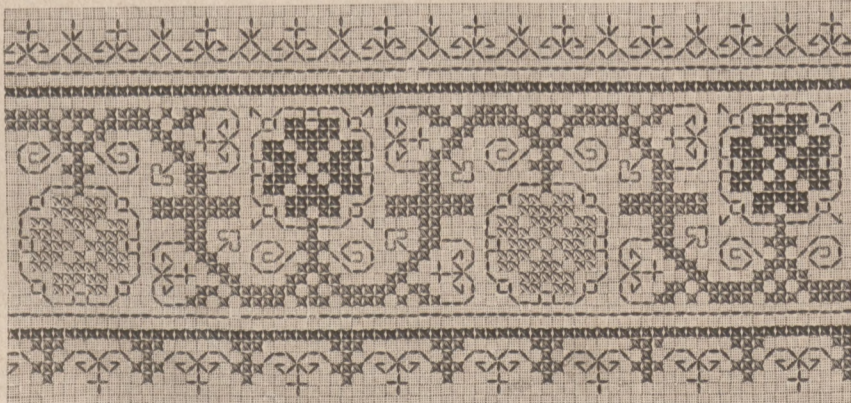
N. 12. Wysycie ścięciem weneckim do ryc. 11—14.



N. 16. Sukienka princese dla pańki lat 8—10.

N. 46 i 47. Paletocik krótki weinany. Krój na arkuszu Nr XIII, Fig. 68—73a.

Odrobiony jest w drobną kratkę i ozdobiony rzędami stębnowki i ładnymi guzikami. Fig. 68—73 podają części kroju w naturalnej wielkości, zestawienie zaś ułatwia



N. 17. Szlak wysyty ścięciem krzyżkowym i jednokrotnym na obie strony, do ryc. 7 w N-rze 21.

zmniejszony format. Szerokość naddana przy beczkach i plecach, zachodzi w płasko załamanych fałdach pod spód. Przody poddane są od spodu materiałem tak szeroko jak wyłożone są ranwersy, dalej zaś podszyte są listewką.

W wykroj szyć wasyty jest kołnier z podwójnie wziętego materiału od G do załamania ranwersów, odąd bowiem podwójnie jest z ran-

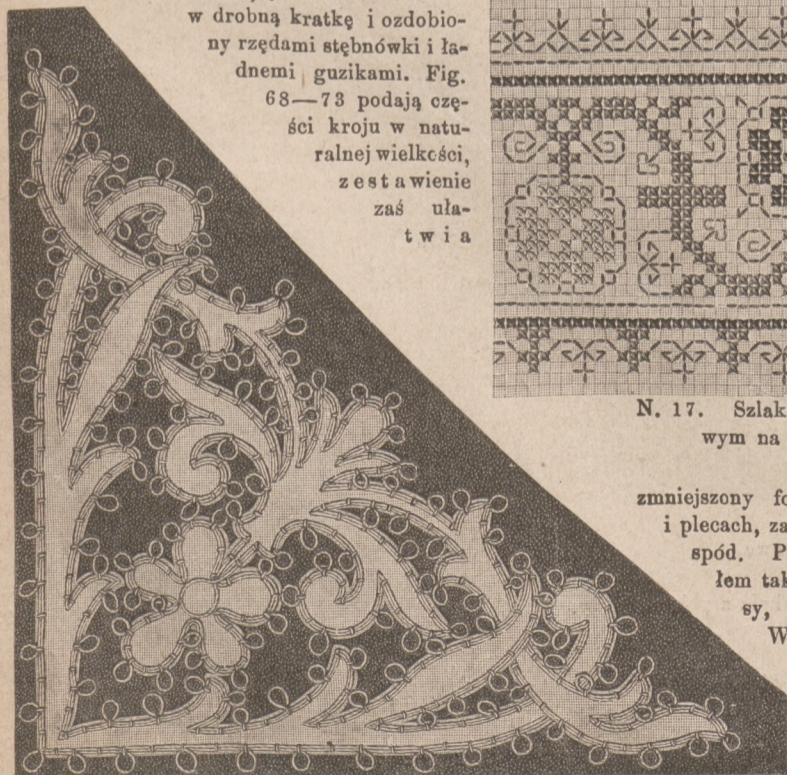
wersem aż do krzyżyka i razem wywinęty podług ryc. 46.

N. 48 i 49. Talma z siatkową pelerynką. Patrz ryc. 12 w N. 18. Krój na arkuszu Nr VI, Fig. 28—29.

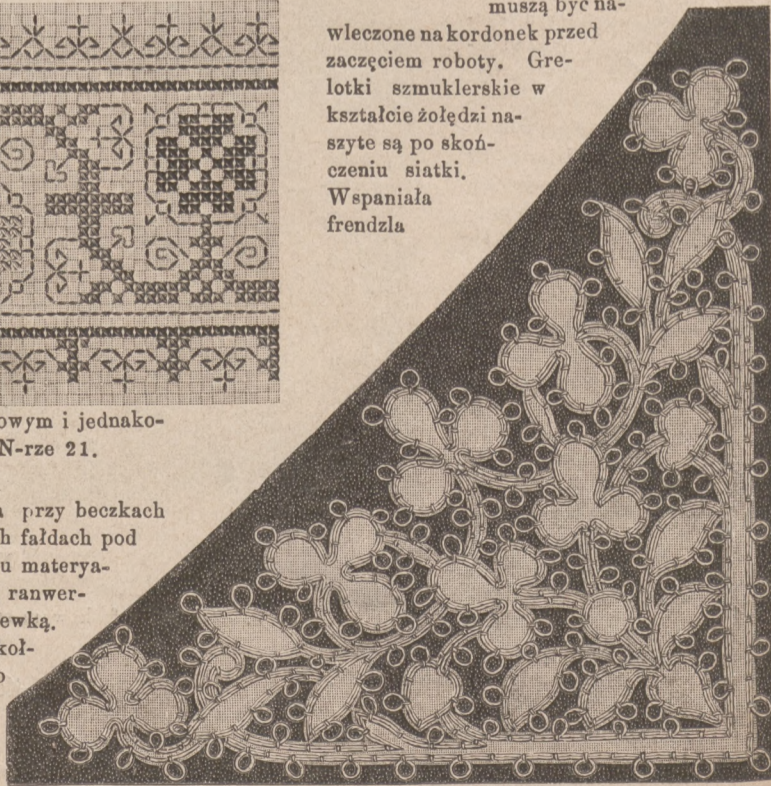
Formą zbliżoną jest do zwykłej pelerynki, lecz dla gładkiego leżenia zaszyta po dwa razy na ramionach od u do w i od w do x. Ryc. 48—49 przed-

stawiają model z czarnego repsu jedwabnego, przyozdobiony szeroką frendzlą i pelerynką siatkową zdobną perłkami pasmateria i frendzlą. Pelerynka ta zupełnie odpowiednia do formy talmy, odrobiona jest z czarnego kordonku, w całej długości ma równą ilość oczek, lecz zmieniając stopniowo linijki na coraz szersze. Rycina 12 w N-rze 18 wskazuje w naturalnej wielkości zaczęcie i brzeg dolny pelerynki. Zaczynając siatkę robi się na najgrubszym waleczku lub linijce 160 oczek i potem nateje linijce obrabia dwa razy, dalej następuje 15 rzędów na najcieńszym waleczku, poczem 22 rzędy na trzecim i ostatni rząd na czwartym najgrubszym. Widoczne na ryc. 48 i 49 rzędy są w równych odstępach i liczą po cztery perłki na oczko siatki; perłki muszą być na-

wleczone na kordonek przed zaczęciem roboty. Grełotki szmuklerskie w kształcie żółdźki naszyte są po skończeniu siatki. Wspaniała frendzla

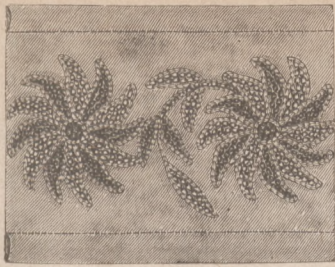


N. 12. Naróżnik do ryc. 11. Wielkość naturalna.

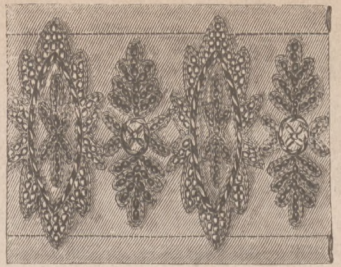


N. 14. Naróżnik do ryc. 11. Wielkość naturalna.

ze szneli i fryzowanej jedwabnej plecionki liczy przy pelerynce siatkowej 10, u dołu talmy 15 cent.



N. 18. Szlaczek wyszty perlkami, do sukien, okrycie t. p. Patrz ryc. 36 w N-rze 21.



N. 19. Szlaczek wyszty perlkami do sukien okrycie t. p. Patrz ryc. 37 w N-rze 21.

manterya z wiszącymi kwastikami stanowi przyozdobienie wskazane na rycinach.

N. 55. Okrycie (visite) z chustki tureckiej. Krój na arkuszu Nr XI, Fig.

56 — 61.

Na ryc. 35 przedstawiamy okrycie letnie zwane wizytką odrobione z kolorowej chustki tureckiej i stanowiące nową w tegorocznym sezonie. Szlaki i frendzla odcięta od chustki, stanowią przybranie; guziki 4 centym. długości mające pokryte turecką materią i gruby sznur z kwastami stanowi zapięcie z



N. 21. Tunika przedstawiona z tyłu r. 20. Krój ryc. 35 w N-rze 21.



N. 50. Talma z wyszty kolorowym szlaczkiem. Deseń na arkuszu Fig. 47; krój podług ryc. 48—49.

Odsztyta z jasno piaskowego materiału i ozdobiona wysztyciem tamborkowym wprost na materiale, danem z cieniowanego tureckiego jedwabiu i nitki złotej; część szlaku dolnego podaje Fig. 47, deseń wyszty na plecach łatwo ułożyć podług ryc. 50.

N. 51—52. Płaszczki z długimi rękawami. Krój na arkuszu N. 10, Fig. 50—55.

Fig. 50—55, dają części kroju w naturalnej wielkości, lecz nie całkowite dla braku miejsca i muszą być dopełnione podług miar na małym formacie Fig. 50—55.

N. 20. Tunika do sukni. Patrz ryc. 21 i ryc. 35 w N-rze 21.

Zeszywszy ramię od rękawa Fig. 52 przyszyć najpierw część spodnią, Fig. 53 od C—D, a następnie rękaw złączyć z przodami od E—B zaś od B do F z plecami. Przody z plecami łączą od F do dołu. Długość rękawów skrócona jest przez zaszycie dwóch fałd, oznaczonych punktami i krzyżkami na formie; przedni brzeg rękawów oszyty plisą, 6 cent. szeroką przystębnowaną z wierzchu, daną 3 razy wzdłuż pleców, podług ryc. 52.



N. 24. Woreczek do robót. Patrz ryc. 25.

N. 22. Robota szydełkowa z torsadką na widełkach do ryc. 23.



N. 23. Szalik włóczkowy jako zarzutka na głowę. Patrz ryc. 22.

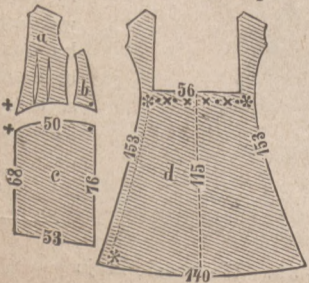
przodu. Chustka stanowiąca materiał na okrycie liczy bez frendzli 176 cent. w kwadrat, na zmniejszonym formacie Fig. 56—60 wskazujemy chustkę złożoną w dwoje a na niej rozłożoną formę, tak jak do wykrojenia. Materiał zbywający po wykrojeniu okrycia użyć można do przybrania sukni, lub szlafroka rannego. Krając przody i plecy trzeba szlak i frendzlę zostawić przy nich do rękawów zaś i kołnierza trzeba ją przystębnować; rękawy mogą być u dołu ścięte prosto podług linii kropkowanej oznaczonej na zmniejszonym kroju. Po zszyciu Fig. 56—37 od I do K i od L do dołu, przyszywa się rękaw od N do O, przy Z trochę zaszyty, górny brzeg głęboko pod spód zachodzącej fałdy odznaczonej 3 przy zwierzchniej części rękawa Fig. 58 jest objęty listewką wraz z pachą, dalej zaś wystaje od O do gwiazdki, zachodzi na plecy aż do linii gładkiej oznaczonej na Fig. 58 a i jest na wierzchu przystębnowany od gwiazdki do dwukropka, jak to widać na Fig. 61.



N. 26. Woreczek do robót, odrobiony malowaniem na atlasie.

N. 53—54. Mantyla z szalowymi kołkami.

Ryc. 53 i 54 przedstawiają odmiennie przybraną mantylę z czarnego indyjskiego kaszmiru, na podszewce jedwabnej. Pas-manteżyja z perlkami 6 i 10 cent. szeroka, koronka i riusza koronkowa, tudzież wążka pas-



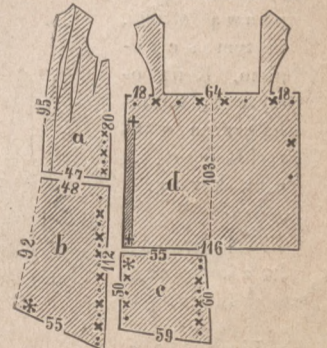
N. 27. Wskazanie kroju vêtement do ryc. 12 i 30 w N. 21.



N. 25. Gałązka do ryc. 24. Aplikacja i haft.

N. 58—60. Część koronkowego pokrycia i laski do parasolków. Deseń na arkuszu Fig. 49.

Czarna lub biała koronka do



N. 28. Wskazanie kroju vêtement do ryc. 14 i 34 w N. 21.



N. 29. Wyszyte plisy do ryc. 21 w N-rze 21.

parasolika odrobiona jest ręcznie na wzór irlandzkiej koronki. Rycina 58 przedstawia dwie kwatery połączone kratką i wyszyte na tle tiulowym taśmeczka gładką i medaljonową, desę załącza Fig. 49. Kwiatki i skrzydła motylków są wypełnione rozmaitymi ściegami koronkowymi. Ryciny 59 — 66 przedstawiają dwie elegan-



N. 34. Suknia z vêtement. Patrz rycina 35.

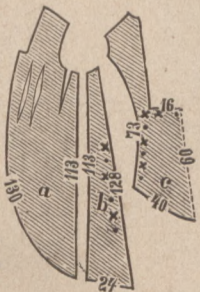
skie laski z kości słoniowej do drogiej parasolików z rączkami i czubkami koralowymi.

N. 63—64. Dwie szerokie krawatki.

N. 63. Krawatka z czarnej materyi.

Mięka jedwabna materya użyta jest na krawatkę 130 cent. długą a 20 szeroką zaobróbną z brzegów na prawą stronę, krytym ściegiem. Końce oszyte są koronką czarną w turecki deseń, 7 cent. szeroką.

N. 64. Krawatka z kolorowego fularu.



Liczy 150 c. długości a 25

N. 37. Wskazanie kroju vêtement do ryc. 36.

N. 36. Suknia wieczorowa z krótko podpiętym vêtement, Patrz krój ryc. 36 i ryc. 31 w N. 21.

N. 38. Suknia balowa z bawetowym stanikiem. Patrz r. 39 i 39 w N. 21.

N. 39. Wskazanie kroju draperji do ryc. 38.



N. 31—33. Ubrania dla dzieci.

N. 31. Sukieneczka wycięta dla rocznego dziecka.

N. 32. Sukienka dla chłopyka.

N. 33. Sukienka wycięta dla dziewczynki. Patrz ryc. 30.

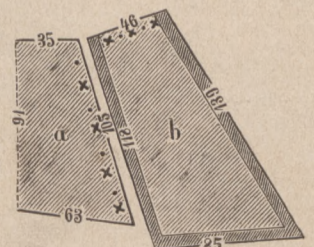


N. 35. Suknia z vêtement dla młodej panienki. Patrz ryc. 34.

Rycina 68 przedstawia model młodej serwetki „doily“ która podług angielskiego zwyczaju kładzie się na talerzykach deserowych, pod filiżanki, podając owoce, suche konfitury i t. p. Serwetki takie z cienkiego płótna 15 cent. średnicy liczące, ozdobione są poręcznym wyszyciem, kolorowym jedwabiem lub bawełną. Rycina 68 wskazuje sposób wyszycia ściegiem

sznureczkowym i długim, a rycina 66 — 67 wskazują zakończenie brzeżne wyszyte nad wysiępaną frez dżlą.

(d. n.)



N. 30. Wzór wyszycia na sukience rycina 33.

szerokości; końce są suto garnirowane żółtawą koronką 7 cent. szeroką, daną trzema rzędami, po nad tem riusza z koronki 2 cent. szerokiej zwróconej do siebie.

N. 65—68. Serwetka „Doily“ z wyszyciem. Deseń na arkuszu Fig. 98 — 95.



Pl 428.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.

